# WICI WIELKOPOLSKIE

**MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE**

ROK VI — POZNAŃ MAJ—CZERWIEC 1936 — NR. 5-6 (55-6)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI — Redaktor: MARJAN TURWID


Zeszyt poświęcony wspomnieniom Strajku szkolnego we Wrześni z okazji 35-tej rocznicy.

ALFONS SZYPERSKI:

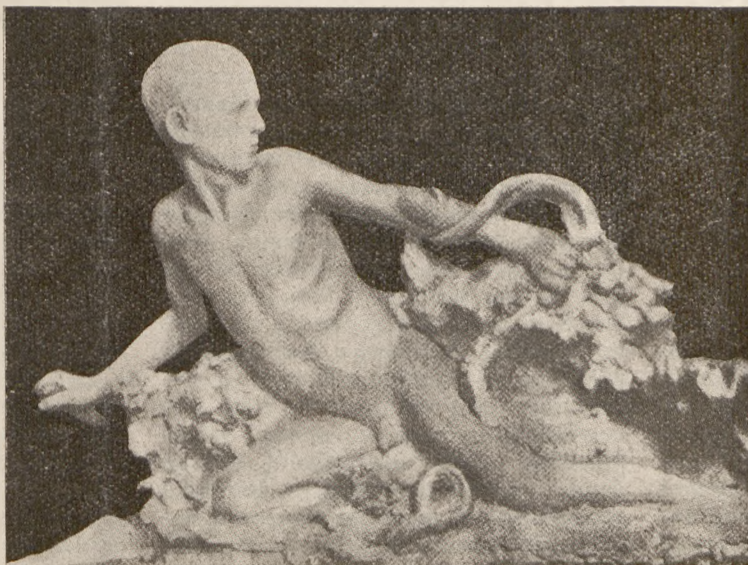
## BARDZO SŁAWNA REWOLUCJA... DZIECI

35 LAT TEMU

W marcu 1901 roku szedł z Poznania na cichą prowincję zakonspirowany okólnik. Wyroił się wraz z setką podobnych i miał — jak na owe czasy — normalnie zaprawioną pigułkę goryczy. Stała się jednak rzecz nieprzewidziana nawet przez najsprytniejszych matematyków politycznych. Okólnik rejencji poznańskiej okazał się tak potężnym ładunkiem dynamitu, eksplodował z taką siłą, że wstrząsnął opinją całego świata i podważył międzynarodowe znaczenie kultury mocarnego państwa.

Poszło o naukę religji, którą już od roku 1883 zaprowadzano stopniowo w języku niemieckim. Zaczęto od środowisk większych, teraz przyszła kolej na szkolnictwo elementarne w miastach małych. Los padł także na Wrześnię. Od 1-go kwietnia obowiązywało w wyższych klasach nowe zarządzenie. Nauczyciele tłumaczyli dzieciom obrazowo, że z religją jest jak z mlekiem, obojętnie czy pijesz ze szklanki czy z filiżanki. Wskazywano na imprimatur arcybiskupie w niemieckiem wydaniu podręcznika, proszono, wreszcie domagano się i grożono. Ale logika dziecka była inna. Przecież my Polacy, Bismark powiedział: z Bogiem rozmawiam tylko w języku mej matki, czemu za chorego pana rektora po polsku pacierz mówić wolno? Prosimy o cofnięcie primaaprilisowej niespodzianki.

Grobowe milczenie zalegało klasę po lekcjach religji. Dzieci wrzesińskie nie odpowiadały na pytania niemieckie. W gronie nauczycielskiem rosła konsternacja. Co powie na to pan inspektor? Mali buntownicy bronią się przyjmować nawet dostarczanych im bezpłatnie podręczników ulegli kiedy im je w rękę gwałtem włożono.



*„Dzieciom Wrzesińskim" Rzeźba Henryka Kossowskiego w Paryżu (chłopiec walczący z potwornym małżem)*

Jedno dziewczę wzięło do ręki dar Danaów, ale... przez fartuszek. Opór jawny, obraza władzy oczywista.

Dwudziestego maja zjawia się w szkole obwodowy inspektor. Groźna jego postawa nie łamie młodocianych rewolucjonistów.

— Zmusić opornych do otwierania ust siłą fizyczną — pada rozkaz.

Egzekucję naznaczono po areszcie i różnych próbach na godzinę pierwszą w południe. Szkoła — mały budynek piętrowy — stała przy wąskiej uliczce w ruchliwej części miasta, gdzie się gęsto osiedliła ludność uboższa.

W feralnym dniu przechodniów zatrzymały pod oknami odgłosy razów, krzyki i wrzawa. Mieszkańcy przeciwległych domów wybiegli na ulicę, zbiegowisko rosło, a tam płacze nie ustawały, bat swawolnie hulał. Atletyczną siłą popisywał się wysoki, barczysty pedagog, o groźnem spojrzeniu, krzaczastych brwiach i czarnych długich wąsiskach. Postrach szkoły i rodziców.

Oburzenie tłumu osiągało zenit. Sytuacja dojrzała do wybuchu, gdy z bramy szkolnej wybiegło kilkoro skatowanych, którzy drżąc z przerażenia pokazywali krwawe ślady obrażeń

cielesnych. Dzieci były zupełnie wyczerpane nerwowo i jęczały z bólu. Z rozdartych serc matczynych wyrwały się ostre słowa protestu. Z tłumu padały mocne wyrazy potępienia. Kilka osób wtargnęło do szkoły, odgrażając się królewskiemu inspektorowi i nauczycielom.(A jeden z nich zaskarżył kiedyś niedźwiednika, że bił niedźwiedzia oprowadzanego po mieście.)

Zagrożony inspektor wezwał policję, przybył i landrat — wzburzona ludność rozeszła się do domów. Każdy mocniej zacisnął pięści i jeszcze raz powiedział sobie: wytrwamy.

— Kara chłosty odbyła się przepisowo — brzmiał urzędowy raport do władz szkolnych.

Na ławie oskarżonych sądu w Gnieźnie zasiedli wszyscy buntownicy. Rodzice i dzieci. Wyrok zapadł bezwzględny, surowszy niż się domagał prokurator. Dwa i pół roku więzienia, rok cuchthausu, areszt — oto skala kar. Trzynastoletni Antoś Korzeniowski wcale zamieszania nie robił, tylko przyglądał się ciekawie, gdy policja tłum rozpędzała, więc łagodniej dotknęła go ręka sprawiedliwości: cztery miesiące więzienia i dwa tygodnie aresztu.

Sąd najwyższy w Lipsku wyrok gnieźnieński zatwierdził, inspektor otrzymał cesarski order, co gorliwsi egzekutorzy po 500 i 400 marek nagrody, a patrjotyczne miasto zostało obdarzone dla przestrogi bataljonem piechoty. Ale i to bagnetowe memento nie zmroziło zahartowanych dusz i zdumiewającej odwagi przekonań małych delikwentów. Strajkowali jeszcze wśród rozpaczliwych szamotań moralnych przez trzy lata. Na gminy i rodziców spadły podatki, kary i koszty utrzymania pomocniczych nauczycieli - łamistrajków. Przymus szkolny przedłużono o rok karnej katorgi. Było wówczas w tej historycznej szkole wrzesińskiej na 668 dzieci tylko 17 dzieci niemieckich.

Tak zaczął się w wielkopolskiej Wrześni wiek XX-ty, wiek nazwany stuleciem dziecka! Niezatarta plama została jednak napiętnowana krzykiem oburzenia całego cywilizowanego świata. Katowanie dzieci wrzesińskich uznano za brutalny wybryk i ponurą omyłkę germanizacji. Dramat majowy ugodził boleśnie w ogólnoludzkie uczucie humanitarne, zranił kulturę Europy. Toteż z wszystkich krajów płynęły gorące protesty. Małe miasto wielkopolskie zbudziło sumienie narodów. Wyrazy hołdu i współczucia dla Polski i Polaków były mocniejsze i liczniejsze niż po trzecim rozbiorze i po powstaniu listopadowem.

Na czele opinji krajowej stanął Henryk Sienkiewicz, ogłaszając płomienny manifest do litościwych serc ludzkich wszystkich krajów. I posypały się hojne dary dla drobnych dzieci, zasądzonych matek i ojców, wzruszające słowa sympatji drukowały gazety niemieckie, występując ostro przeciw rządowi, niemieccy duchowni anonimowo przysyłali polskim buntownikom pieniądze, odzywały się protesty posłów pruskich. Honor dużej części społeczeństwa niemieckiego został uratowany.

Podziw i cześć dla bohaterstwa orląt wrzesińskich wyrażały zrzeszenia międzynarodowe, uniwersytety zagraniczne, organizacje robotnicze, koła parlamentarne. Protestowano instytucjami, stowarzyszeniami lub imiennie. Jak donosiła prasa włoska, gromady rybaczek przychodziły z pobrzeża podpisać krzyżykami polski papier. Starzy górale z zapadłych wiosek w Apeninach drżącą ręką stawiali krzyżyki. Na ulicach miast i w szkołach rozlepiano protesty. Hasło: Pro Polonia zagrzmiało donośnie także na drugiej półkuli.

Męczeństwo dziatwy było na ustach wszystkich, a Września stała się symbolem tragizmu rozbiorów i konieczności wolnego państwa.

Reakcja Wrześni w tak stanowczej formie była posiewem krwi powstańców 48 roku, żywej tradycji bitwy na polach podmiejskich i żarliwego kultu mogiły powstańców sokołowskich.

Jeżeli dziś z chłodnej perspektywy 35 lat spojrzymy na wypadki wrzesińskie, widzimy w nich przedewszystkiem żywiołowy kult mowy ojczystej i tradycji plemiennej. Widzimy w nich głęboki problem kulturalno-obyczajowy. Owe katechizmy niemieckie były raczej iskrą zapalną w podminowanej sytuacji politycznej. Ucisk tak przybierał na sile, że lada niefortunny okólnik mógł wywołać wstrząs społeczny. Rozpaczliwa samoobrona społeczeństwa starszego hypnotyzowała dzieci, ale zawsze podziwiać będziemy heroiczną odwagę, zdolność do wielkich cierpień i poświęceń polskiej młodzieży.

---

ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI:

# Z WIELKICH DNI WRZEŚNI

Rok 1901. Piękny letni poranek. W redakcji Dziennika Kujawskiego w Inowrocławiu odbywa się właśnie przegląd porannej poczty. Nagle — zakotłowało. W stercie listów znalazły się kartki z Wrześni, których treść wywołała niesłychane wrażenie. Maciej Wierzbiński — naczelny redaktor Dziennika, czytał — do głębi przejęty — pierwszy, szczegółowy opis zajść w szkole wrzesińskiej, opis jedynego w swoim rodzaju strejku szkolnego. I oto Dziennikowi Kujawskiemu właśnie przypadło w udziale rzucić w szerok świat pierwszą wiadomość o walce jaką podjęło dziecko wrzesińskie z potęgą pruskiej przemocy. Ten pierwszy krzyk oburzenia i rozpaczy rzucony na łamach Dziennika Kujawskiego wywołał — niespodziewanie — ogromny odgłos. Już w kilka dni rewelacje tyczące się sprawy wrzesińskiej powtarzały pisma całego świata cywilizowanego. Redakcja Dziennika Kujawskiego zmuszoną została do wydawania pisma w znacznie zwiększonej ilości egzemplarzy. Przeprowadzono bardzo ostrą rewizję. Nie znaleziono nic.

Anonimowy autor rewelacyjnych korespondencyj z Wrześni nadesłał dalsze listy z opisem przebiegu sprawy. Listy te zawierały drobiazgowy opis zdarzeń, potwornych represyj, chłost i tortur dzieci. Oczywiście i te listy znalazły się na łamach Dziennika Kujawskiego.

Nie żyją już dziś ani naczelny redaktor Dziennika Kuj., ani autor historycznych korespondencyj. I tylko przypadek sprawił, że udało mi się później ustalić nazwisko anonimowego korespondenta. W kilka miesięcy po wypadkach wrzesińskich znalazłem się we Wrześni, i tam — jednym z najgorętszych przyjaciół mej nowootwartej księgarni — stał się nauczyciel Bronisław Gardo. Dopiero po naszem serdecznem zbliżeniu się, dowiedziałem się od niego, że to on właśnie pierwszy rzucił wieść o wypadkach wrzesińkich na forum publiczne, przesyłając redakcji Dziennika Kujawskiego swe korespondencje.

Był ten pan Gardo bowiem cichym, skromnym ale nieugiętym bojowcem sprawy polskiej. Był jednym z tych nauczycieli polskich w służbie pruskiej, którzy po bohatersku narażając się na najgorsze — bezustannie krzewili polskość w duszach wychowanków. Dzięki takim właśnie — jak Gardo — wychowawcom pruskim, dzięki skromnym, nieznanym, nauczycielom ludowym przegrał rząd pruski swą zawziętą walkę z polkością zaboru pruskiego. Niełaska władzy towarzyszyła Gardzie w czasie całej jego pracy zawodowej. W imię „dobra" szkoły przerzucano go

nieustannie z miejsca na miejsce. Niebawem po wybuchu strejku szkolnego we Wrześni, musiał p. Bronisław Gardo opuścić Wrześnię by pójść na karną posadę.

Ubył mi w nim oddany współpracownik dla sprawy polskiej na terenie Wrześni. A był to wtedy teren niełatwy. Jako świeży reemigrant ze Lwowa, znalazłem się tu jednak w swoim żywiole. Od pierwszego zaraz dnia założenia księgarni polskiej władze pruskie wydały mi wojnę. Zbyt dobrze wiedziały czem na czy i na niego nie zwróci się podejrzenie policji. Dorosłych przeto teroryzowała palicja a dzieci w dalszym ciągu — za bohaterski opór — cierpieć musiały karę chłosty i aresztu. Główna winowajczyni, najodważniejsza z dziewcząt, Bronisia Smidowiczówna (dzisiaj zamężna Matuszewska) ta, która gwałtem wciskany jej do rąk „Katechismus" niemiecki wzięła wreszcie, ale przez fartuszek, co w konsekwencji całą nienawiść pruską na nią głównie skierowało, znalazła się na szczęście ofiar przemocy pruskiej oraz na koszty procesu. W księgarni mej panował w tych dniach niezapomniany nastrój. Ruch był nadzwyczajny. Redakcje, zainteresowane strajkiem, z wszechstron świata zgłaszały się po fotografje przedstawiające Wrześnię, historyczną szkołę, bohaterów strejku i katów pruskich. Fotograf wrzesiński „Furmanek" dokonywał bez przerwy zdjęć z których potem fabrykowaliśmy pocztówki oraz odpowiedni materjał propagandowy. Nie była to łatwa praca. Policja konfiskowała,




Z procesu Kultury Pruskiej. Strona „Bociana" nr. 9 z grudnia 1901 r. miesięcznika ilustr. satyr.-humoryst. Rysunek na kamieniu Zygm. Swiatopełk-Słupskiego.

froncie walki o polskość były podówczas księgarnie. Były to przecież forty wysunięte daleko na czoło walki. Walczono więc ze mną, jako niewygodnym intruzem wszystkiemi dostępnemi sposobami. Nakazy, konfiskaty, przez czas pewien codzienne nieomal rewizje, oto znane metody. Oparty jednak o patrjotyczne i życzliwe mi obywatelstwo wrzesińskie trwałem jakoś na zagrożonej placówce.

Września już podówczas (październik 1901) żyła wspomnieniem przeżytego wysiłku strejkowego oraz w oczekiwaniu procesu w Gnieźnie, wytoczonego rodzicom dziatwy szkolnej i członkom komitetu utworzonego celem zorganizowania pomocy poszkodowanym. Miasto żyło podniecone, policja i żandarmerja powoływała co dnia to tych to owych mieszkańców na przesłuchy i indagacje. Przecież w tłumie, który pamiętnego dnia chłosty dzieci oblegał szkołę znajdowało się kilkaset zgórą osób. Nikt tedy nie był pewny, w Zakopanem, w szkole Generałowej Zamojskiej. Piasecka, żona murarza, która pierwsza czynnie stanęła w obronie swego katowanego dziecka, uchodząc przed grożącą jej karą kilkuletniego więzienia, wywieziona została do Lwowa przez Ignacego Janickiego. Rzeźnik Dzieciuchowicz też — w związku z wydarzeniami — grubo naraziwszy się żandarmerji, drapnął do Ameryki, a panna Jerzykiewiczówna, skazana później zaocznie na rok więzienia za ironiczny uśmiech przy odpowiadaniu żandarmowi, znalazła się na terenie gościnnego Krakowa. Pozostali oczekiwali z niepokojem wyników zapowiedzianego procesu. Z chwilą zbliżania się terminu procesu w Gnieźnie pracował komitet z poświęceniem nad opanowaniem całości i sprawy i nad ujęciem jej w karby organizacji. Przytem — trzeba było bronić pęczniejącej od nadsyłanych datków kasy komitetu przed zachłannością pruską. Potrzeba było bowiem znacznych kwot na doraźną pomoc rodzinom co zdołała uchwycić, a przecież technika fotograficzna nie stała wówczas na dzisiejszym poziomie. Fotograf, chcąc dokonać zdjęcia, godzinami nieraz stał, nakryty czarną płachtą z aparatem wycelowanym w ulicę, aby pochwycić na kliszę przechodzących nauczycieli pruskich, czy inne — potrzebne redakcjom z całego nieomal świata — objekty. Wielką pomoc miałem ze strony kilku urzędników pruskich polaków. Przedewszystkiem starostwa. S. p. St. Stoiński, M. Kizierowski, ś. p. St. Panster i i. umieli zawsze wczas uprzedzić mnie o grożącej rewizji, a z Urzędu Cła, p. Sobczak, woźny jak mógł chronił przed konfiskatą paczki książek, czasopism i druków z Małopolski i Warszawy. Niemało kłopotu przyczyniał nam ks. Laskowski, jeden z głównych bohaterów Sprawy Wrzesińskiej, wróg fotografowania się. Dopiero dzięki siostrze zacnego kapłana udało mi się zdobyć zdjęcie amatorskie. Zdziwienie księdza było niemałe, gdy zobaczył

swój konterfekt w Krakowskiej Ilustracji Polskiej.

W Poznaniu wychodziło wówczas pismo humorystyczne „Komar", po konfiskatach pod nazwą „Bocian" (nic wspólnego oczywiście nie mające z obrzydliwością pornograficzną, która się obecnie pod tym tytułem ukazuje). Redagował je świetny humorysta pióra i ołówka Zygmunt Światopełk Słupski. Bawił on u mnie przez szereg dni i zawzięcie podchwytywał typy nauczycieli pruskich do szeregu kapitalnych karykatur i rysunków satyrycznych. Zapełniły te rysunki kilka numerów „Komara" wykpiwając i ośmieszając system pruski i jego ślepych wykonawców. Popyt na te „Komary" był wielki, ba — sam pan prokurator bardzo się o nie dopytywał. Nadszedł proces gnieźnieński. Józef Kościelski z Miłosławia, prezes komitetu polskiego, zajął się gorąco pomocą i obroną dla oskarżonych. Jak daleko szła ta pomoc zasłużonego obywatela, niech świadczy fakt, że Kościelski przywiózł z sobą do Gniezna nawet kucharza i liczną służbę i zorganizował w poczekalni sądowej bufet dla oskarżonych i świadków. Podtrzymując ciało, podtrzymywał także ducha. Choć — naogół — duch panował dobry. Ba nie szczędzono nawet ciętych dowcipów i satyrycznych odezwań się pod adresem prześladowców. Mimo groźnej sytuacji trzymano się dzielnie. Niejeden dowcip oskarżonych poszedł w szeroki świat. Nawet niektórzy korespondenci pism niemieckich skorzystali, o dziwo, z polskiego poczucia humoru. Celował w „kawałach" zwłaszcza oskarżony Janicki, ten sam, który z polecenia komitetu „przemycił" oskarżoną Piasecką do Lwowa. Berliński „Kladderadatsch" uwiecznił chwilę, gdy zawzięcie drapiący się na rozprawie Janicki zapytany został przez sędziego, co go właściwie tak okropnie gryzie. Na to — Janicki sięgnął za koszulę, aby panu sędziemu pokazać „corpus delicti". Sędzia począł ironizować na temat „robactwa polskiego" przywiezionego z Małopolski. Na to z miejsca odciął się Janicki stwierdzając kategorycznie, że wesz jest nie polska lecz pruska. — Na jakiej podstawie utrzymuje oskarżony, że wesz jest pruska?, pyta pan sędzia. — A bo ma na grzbiecie czarny krzyż — odpowiada Janicki. I by ten oczywisty dowód przynależności państwowej miłych zwierzątek panom sędziom pokazać zbliżył się Janicki jak można najbardziej do sędziowskiego stołu. Wywołało to prawdziwy popłoch wśród sędziów i homeryczny śmiech na sali sądowej.

Komitet obrony Dzieci Wrzesińskich, wyszedł — jak wiadomo — z wyjątkiem skarbnika ś. p. St. Ziołeckiego, skazanego na kilkadniowe więzienia, — cało z opresji, a to dzięki bystrości i przytomności umysłu oskarżonych i świadków. Obrona spisała się również znakomicie. P. Ziołeckiego odprowadzono, po powrocie do Wrześni cichcem do więzienia. Natomiast wyjście z więzienia było wprost tryumfalne, bo przy udziale nieomal całej Wrześni.

Po procesach gnieźnieńskich i po— niezmieniających tenoru wyroku rozstrzygnięciach trybunału w Lipsku, skazani poszli do więzień, a komitetowi pozostało zadanie rozdziału wsparć rodzinom skazanych oraz rozdział sum zebranych ze składek całej Polski na książeczki bankowe, płatne w dniu pełnoletności skazanych dzieci. Była to praca trudna, bo szło o sprawiedliwy rozdział grosza publicznego. Ze względu na plotki a nawet oszczerstwa kilku niezadowolonych trzeba mi tu, przy okazji notowania tych wspomnień, stwierdzić, że w pracy komitetu nie było ani jednego wypadku wystąpienia niegodnego z etyką. Działalność Komitetu była przez cały ciąg pracy w zupełnej zgodzie z nakazami patryjotyzmu i honoru.

W każdym razie, składki, i to liczne, które na rzecz dzieci wrzesińskich przypłynęły z całej Polski a i z dalszych stron rozdane zostały należycie i pomogły w niejednej ciężkiej doli, skutecznie ocierając łzę.

Moralnie wpłynął strajk bardzo dodatnio na całe późniejsze pokolenia Dzieci Wrzesińskich. Zostało w murach miasteczka poczucie kontynuowania na zawsze przez historję utrwalonego, bohaterskiego wysiłku. Dzieci Wrzesińskie uprawiają wallenrodyzm w szeregach pruskich, w czasie wojny szerząc rozstrój i rozprzężenie w armji niemieckiej. Spotykamy Dzieci Wrzesińskie w pierwszych szeregach powstańców wielkopolskich. Bataljon wrzesiński walczy na polach Witkowa, Zdziechowy, Gniezna, Szubina, Łabiszyna i Inowrocławia. W dwa lata później, w czasie wojny Polsko - Bolszewickiej wrześniacy tworzą Legję Ochotniczą Wrzesińską i przelewają krew nad Kanałem Królewskim i na polach Kobrynia.

A i obecnie Dzieci Wrzesińskie nie ustają w pracy dla dobra Polski. Bo niedość chlubić się czynem minionym. Dzieci Wrzesińskie chcą zdobytą sławę utrwalać czynem nieustannym.

---

BRONISŁAWA Z ŚMIDOWICZÓW MATUSZEWSKA:

# MOJE WSPOMNIENIA

Sięgam do wspomnień z lat dziecięcych. Pamięć jest jak księga zapisana wspomnieniami przeżyć. Nie wszystko jednak zostało w niej utrwalone a z utrwalonych wspomniem nie wszystkie mają wartości istotne. Nie chcę też powtarzać rzeczy bardziej znanych. Czytelnicy wybaczą mi zatem, jeżeli w opisie przeżyć moich nie znajdą tego czego może szukali.

Zaczynam od pierwszej zapisanej w pamięci stronnicy mego życia. Miałam 5 lat kiedy zawarłam znajomość z elementarzem polskim. Dom rodzicielski był nawskroś katolickim i polskim. Ojciec mój powtarzał stale, że Polska niezadługo powstanie. Na wychowanie moje i mego rodzeństwa wywierał on wpływ niezatarty. Jeszcze dziś wydaje mi się, że słyszę jego słowa, kiedy pewnege ranka opowiadał nam swój sen. — Sniło mu się, że jest na wielkiem jeziorze. Nagle zauważył dwa orły białego i czarnego. Orzeł czarny chciał białego pogrążyć w nurtach i dziobał go aż do krwi, lecz biały orzeł zwinnymi ruchami wydzierał się z jego szpon. Po dłuższej walce orzeł biały opadł z sił i zdawało się, że każdej chwili zginie, lecz w pewnym momencie wyrwał się do lotu a orzeł czarny nie dogonił go. Kończąc opowiadanie podkreślił ojciec, że Polska napewno wyzwoli się z niewoli, choć on pewnie tego nie dożyje.

Z przekonaniami swojemi ojciec się nie krył. Usposobienie miał towarzyskie, to też otaczało go często liczne grono słuchaczy. Imponująca postać i siła przekonań narodowych wyjednały mu we Wrześni półżartobliwe przezwisko „Król Polski". Obok wpływu domu rodzicielskiego, gdzie zbierało się nieraz większe grono rówieśników, by wygłaszać wiersze i utwory narodowe, oddziaływał na mnie także wpływ szerszego otoczenia.

Wśród ludu krążyły wieści o poległych powstańcach z 1848 r., o kosynierach z pod Sokołowa. Do tradycji narodowej należało uczęszczanie w rocznicę bitwy w dniu 2. maja do pomnika poległych pod Sokołowem, by tutaj oddać hołd bohaterom o wolność.

Pochody te były czynnikiem wpływającym ożywczo na wzbudzenie uczuć narodowych wśród młodzieży.

Po skończonym siódmym roku życia zaczęłam chodzić do szkoły.

Współżycie z rówieśnikami było naogół dobre. Nawet w gronie nauczycielskiem znajdowały się jednostki sympatyczne do takich należał rektor Fedke, nauczyciel Pohl, zajęty często podczas lekcyj własnemi sprawami; gdy chodził zamyślony po klasie urządzano rozmaite psoty. Aż do słynnego strajku wrzesińskiego cieszył się także nauczyciel Koralewski sympatją, pozwalając na lekcji spiewu wybierać ulubione piosenki. Szkoda, że jednostki te, prócz Pohla, służyły wrogiemu systemowi. Największą sympatją i poważaniem cieszył się naucz. Gardo, który konspirował na rzecz strajku.

Do ukochania i roskrzewienia pieśni polskiej przyczynił się, poza domem, w znacznej mierze ks. Laskowski. Zorganizowany przez niego chór kościelny składał się z dzieci szkolnych, w większości z strajkującej młodzieży. Poza dość trudnemi pieśniami łacinskiemi (na 4 głosy) pielęgnowaliśmy polską pieśn kościelną, narodową i ludową. Pod doskonałem kierownictwem rozwijał się chór świetnie, gdyż jako rygorysta wymagał ks. dyrygent bezwzględnej karności i posłuszeństwa.

Miłem wspomnieniem pozostały majówki urządzane dla nas staraniem ks. Laskowskiego w lesie sokołowskim. W czasie zabawy popisywano się śpiewem, pląsami i deklamacją. Ksiądz Laskowski prowadził także u siebie wypożyczalnię książek z której chętni wiedzy mogli korzystać.

Chociaż nigdy nie wypowiedział jawnie swego zdania jaką postawę przyjąć mamy wobec rozwijających się wypadków w czasie strajku, to jednak czuliśmy, że stoi po naszej stronie.

Surowy dla siebie, karcił w ostrych słowach nasze przewiny. Palenie przez młodzież papierosów uważał za grzech śmiertelny. Za zasady, które stosował był ogólnie poważany i szanowany.

Z biegiem lat, w miarę rozwoju umysłowego zrozumiałam, że szkoła chce zniszczyć przekonania wychodowane w domu rodzicielskim. Widocznie wyczuwały to również inne dzieci i stosowały pewnego rodzaju bojkot języka niemieckiego. Nie wiem ile w tem było świadomej woli, a ile braku opanowania obcego nam języka. W każdym razie kiedy pewnego dnia, krótko przed słynnym strajkiem, przybył do naszej klasy radca rejencyjny z Poznania w towarzystwie inspektora szkolnego Wintera i stawiali pytania w języku niemieckim, każąc tłómaczyć zdania na język polski, otrzymywali zgoła nieoczekiwane odpowiedzi. Naprzykład: — Ilu synów mieli Adam i Ewa i co się stało z Ablem? Odpowiedź — Abel żyje we Wrześni i mieszka przy ul. Poznańskiej a konia swego ma u p. Walichta w ul. Kościelnej (Ablem nazywano pewnego wrzesińskiego żyda).

Do ciekawych wyników doszliśmy w tłómaczeniu pieśni „Heil dir im Siegerkranz", przetłomaczono „die hohe wonne ganz" na: „pieczoną wonną gęś". Śmiałą odpowiedź nauczycielowi dał uczeń Klimas. Zapytany jaka jest barwa narodowa odpowiedział: „nasza barwa narodowa jest biała i czerwona, a pruska biała i czarna". Odpowiedź tę odpokutował on dotkliwą chłostą.

Taka była atmosfera w szkole, kiedy zaczęto wprowadzać język niemiecki do nauki religji. Strajk dzieci nie był sztucznie organizowany. Wpływu starszego pokolenia w postaci rad i wskazówek nie można wprawdzie zaprzeczyć, ale z mego punktu widzenia, nie był on decydujący. Niechęć do języka niemieckiego, którą nosiliśmy w sercu została uświęcona czynnikiem religijnym. To było dla nas dostatecznym bodźcem do działania. Jedyną formą organizacyjną była solidarność koleżeńska. Jest rzeczą zrozumiałą, że pewne jednostki przewodziły. Do takich przewodników zaliczam Stanisława Jerszyńskiego i siebie.

Pamiętam jak rekt. Fedke daremnie starał się nas przekonać, że jesteśmy niemcami. Gdy pewnego razu wmawiał nam znowu pochodzenie niemieckie, odpowiedziałam idąc za radą mego ojca: „Wir sind nur die Untertanen des deutschen Reiches, aber wir sind Polen".*) Następnym razem mówił; że przecież to wszystko jedno w jakim języku modlimy się, gdyż Pan Bóg i po niemiecku nas zrozumie i wysłucha nasze modły. Na to odpowiedziałam „Jeżeli Pan Bóg rozumie nas po niemiecku to dlaczego, gdy p. rektor był ciężko chory, nauczyciel Gardo obchodził wszystkie klasy i modlił się znami o zdrowie dla pana w języku polskim. Widocznie Pan Bóg w naszym ojczystym języku prędzej nas wysłuchał, bo p. rektor wyzdrowiał". Po tej odpowiedzi stanęły rektorowi łzy w oczach. Wyszedł z klasy i na dalszą lekcję przysłał naucz. Gardego. Podczas jednej lekcji na silne naleganie, by odpowiadano w języku niemieckim wyraziłam nast. zdanie: „Kanzler Bülow sagte im Parlament: Jeder Vogel soll so singen wie ihm der Schnabel gewachsen ist, und weil uns der Schnabel polnisch gewachsen ist, deshalb wollen wir auch polnisch singen".**)

Na lekcji śpiewu kazał nam naucz. Fennig (ulubioną jego rzeczą było przekręcanie nazwisk) śpiewać „Ich bin ein Preusse" kilka głosów odróżniło się tem, że w miejsce Preusse śpiewali Pole — w tej chwili zaprzestano śpiewu, a wszystkich, którzy oświadczyli, że nie będą śpiewać „Preusse", gdyż są Polakami, ukarano. Innym razem przychwycił nas naucz. Fennig na tem, jak mówiłyśmy między sobą po polsku. Z oburzeniem zwraca się do nas w te słowa: „Możecie do siebie mówić po francusku, po chińsku zresztą jak wam się podoba, tylko nie po polsku".

Czytając prasę lub książki opisujące strajk wrzesiński, zauważyłam pewne nieścisłości. I tak w książce wydanej przez Radcę Jabczyńskiego przedstawiono mnie jako chłopca (Bronisław Smidowicz). Ostatnio czytałam w tygodniku „Prosto z Mostu" Nr. 19 z 1936 r., w pracy Prof. Szyperskiego „Bardzo sławna rewolucja" zdanie: „Mali buntownicy nie przyjmują nawet dostarczanych bezpłatnie podręczników. Jedno dziewczę wzięło wprawdzie do ręki dar Danaów, ale przez fartuszek".

Aby zdanie to się nie utarło, pozwolę sobie na sprostowanie, opierajac się nietylko na własnej pamięci, lecz i na pozostałych aktach i odczycie p. insp. Stasiewskiego. Wciskane do rąk katechizmy niemieckie dzieci chociaż niechętnie odebrały, wiedziona jakimś niewytłumaczonym odruchem schwyciłam książkę przez fartuszek. Stosując się do rozkazu rodziców zwróciłyśmy już w dzień następny darowane nam książki. W dniu 2. maja, to jest w drugim miesiącu roku szkolnego 1901, przybył do szkoły insp. Winter i wspólnie z nauczycielami starał się nakłonić dzieci, aby jednak zatrzymały katechizmy. Narazie udało im się to z wyjątkiem ucznia Jerszyńskiego i mnie, zaco zostaliśmy dotkliwie ukarani. W dniu 13. maja otrzymuję wraz z Jerszyńskim pierwsze plagi za naukę religji, nie odpowiadając na pytania stawiane w języku niemieckim. Inne dzieci biorąc przykład postanowiły na nast. lekcji także nie odpowiadać.

Nauczyciele wyczuli, że swem zachowaniem wywieram na uczni niepożądany wpływ. To też w dniu 20. maja przystępuje do mnie przed lekcją religji o godz. 10-tej naucz. Koralewski i nakazuje iść do domu. W pierwszej chwili nie zrozumiałam nakazu i pozostałam w klasie, lecz na powtórny rozkaz wzięłam książki i wyszłam z klasy. Koralewski sądził widocznie, że gdy mnie się pozbędzie to z pozostałymi uczniami da sobie łatwiej radę. Stało się

---

*) Jesteśmy tylko poddanymi państwa niemieckiego, jesteśmy jednak polakami.

**) Kanclerz Bülow powiedział w parlamencie, każdy ptak ma tak śpiewać, jak mu dziób urósł. A że nam dziób urósł polski, dlatego chcemy po polsku śpiewać

inaczej, bo już odchodząc usłyszałam zdanie: „i tak się nie damy!“

Po mojem odejściu odbywał się nad pozostałymi uczniami prawdziwy sąd inkwizytorski. Poszczególne dzieci przywoływano do innej klasy, w której znajdowali się insp. Winter, naucz. Koralewski i naucz. Schölzchen Dzieci chociaż podświadomie przeczuwały co je czeka, postanowiły wytrwać. Inkwizytorzy przeliczyli się w swoich rachubach licząc na to, że wątłe dziewczę, czy chłopiec ulękną się ich groźnej postawy i ulegną. Na nic się zdały badania kto dzieci namówił do tego, by nie odpowiadały na lekcji religji w języku niemieckim. Chłostę stosowano częściowo. Jeżeli uczeń po kilkakrotnem zapytaniu nie odpowiadał otrzymywał 3 „łapy“. Poczem czyniono różne obietnice co do przyszłości dzieci. Gdy i to nie pomogło grożono karami. W końcu zadawano jeszcze raz pytania i jeżeli dziecko i tym razem nie odpowiadało, otrzymywało jeszcze raz 3 „łapy“ i to takie, od których skóra pękała na dłoni. Po wymierzeniu kary puszczono dzieci zbite, cieleśnie i moralnie zmaltretowane do domu. Podziwu godzien był ten hart ducha u dzieci w wieku od 12—13 lat.

Nie mogąc spokojnie usiedzieć w domu poszłam przed szkołę i czekałam rychło które z pozostałych dzieci się ukaże. Dopiero po godz. 12-tej wyszedł pierwszy uczeń i, chociaż po otrzymaniu plag ból mu dokuczał, wydał okrzyk: „Jeszcze Polska nie zginęła“! Nie będę tutaj opisywała wypadków brzemiennych w następstwa, które później zaszły, ponieważ są ogólnie znane. Przytoczę tylko nazwiska uczenic i uczni, ukaranych srogą chłostą: Antoni Nowaczewski, Bron. Klimas, Stanisław Jerszyński, Roman Biały, Florjan Podsędek, Wacław Drzewiecki, Zygmunt Krall, Franciszek Gadziński, Stefania Chełmikowska, Józefa Bednarowiczówna, Seweryn Wagner, Jadwiga Bulczyńska, Melanja Zarembianka, Józefa Woźniakówna, Jadwiga Porossa, Leokadja Wojciechowska, Zofja Ludowiczówna, Anastazja Wojciechowska, Stefanja Janiszewska, Tekla Tomaszewska, Stanisława Piechocka, Franciszka Chromińska.

Jeżeli kogo pominęłam to bardzo przepraszam, lecz podałam tylko te nazwiska, które pozostały w mej pamięci. Od dnia tego powtarzało się na każdej lekcji religji to samo. Nauczyciel zadaje pytanie a uczniowie milczą, zaco otrzymują prócz chłosty, karcer po kilka godzin dziennie, siedząc w szkole nieraz bez obiadu do godziny 2-giej i dłużej. Zaznaczyć należy, że nauka rozpoczynała się o godz. 7-mej. Wszystkie sposoby zjednania uczniów zawiodły, nawet i wtedy gdy zatrzymano nas w szkole po ukończeniu 14 roku życia. Pewnego razu przystępuje do mnie nauczyciel Koralewski z obietnicą, że o ile chociaż na kilka pytań z religji odpowiem, to mogę nadal bezpłatnie uczęszczać do szkoły wydziałowej t. zw. „Töchterschule“, lecz i to nie odniosło skutku. Najwięcej gniewało grono nauczycielskie to, że nawet najlepsi uczniowie jak Chełmikowska, Bednarowiczówna, Jerszyński i inni przybrali wrogą postawę.

Chcąc się mnie za wszelką cenę pozbyć ukartowano wysłanie mnie do domu poprawy (więzienia nie można było wobec dziecka zastosować). Nauczycielowi Gardemu mam do zawdzięczenia, że ostrzegł wczas rodziców o grożącem niebezpieczeństwie. Matka udała się zemną do Józefa Kościelskiego w Miłosławiu, od którego otrzymałyśmy list polecający do pewnej osobistości w Krakowie (w szkole rozgłoszono, że wyjeżdżam do krewnych). Jadąc do Krakowa musiałyśmy na granicy w Oświęcimiu czekać kilka godzin na następny pociąg. Z trwogą spoglądałyśmy stale na drzwi czy nie zostaniemy zatrzymane. Przyjzdd do Krakowa odznaczył się tem, że daremnie przez dwa dni szukałam z matką pomieszczenia, dopiero na trzeci dzień skierowano nas do pani Siedleckiej, wielkiej społeczniczki. P. Siedlecka zajęła się mną szczerze i umieściła na stancji u p. Kolarzowskiej, gdzie przebywałam przez dwa miesiące, pobierając lekcje języka polskiego. Po dwuch miesiącach wyjechałam z p. Siedlecką do Zakopanego, bawiąc przez kilka tygodni z tą dobrą Panią na wywczasach. Za Jej staraniem zostałam przyjęta bezpłatnie do szkoły gospodarczej pani jen. Zamoyskiej. Przydzielono mnie do III. oddziału, w którym przy bardzo skromnej strawie wymagano, jak na nasz wiek dziecięcy, uciążliwej pracy. Pani Siedlecka wystarała się również od Komitetu o 210 mk na wyposażenie mnie w odzież i bieliznę. Rodzice wskutek utraty przedsiębiorstwa przez bojkot niemców, nie mogli łożyć na moje utrzymanie, a Komitet hojny wobec innych nie pospieszył mi z pomocą. Zdana byłam na łaskę ludzi dobrej woli.

Kar pieniężnych, jakie nakładano na rodziców spowodu nieobecności w szkole opornych dzieci, ojciec mój nie mógł płacić. Dlatego musiał po kilka razy odsiadywać karę więzienną, razem około 4 tygodni. Ażeby położyć kres cierpieniom moralnym mego ojca i zabezpieczyć się przed władzami pruskiemi, które mogły zażądać wydalenia mnie z granic Austrji, zostałam za radą adwokatów adoptowana. Akt adoptacji podpisałam osobiście w sądzie w Nowym Targu, dokąd pojechałam z jedną nauczycielką. Odtąd brzmiało moje nazwisko Smidowicz-Pyzowska.

Korespondencję otrzymywałam pod tem nazwiskiem.

Po odprężeniu stosunków, tj. w trzy lata później, wróciłam do domu do Wrześni.

Jak głęboko zapisała się sprawa wrzesińska w umysłach niemców niechaj posłuży następujący fakt. Przy zaznajomieniu się z osobami nieznanemi pochodzenia niemieckiego, gdy usłyszano moje nazwisko zwracano się do mnie często ze zdaniem „ach das sind sie die fanatische Polka„. Spotkało mnie to także w Berlinie, kilka lat po słynnym strajku. Dodać należy, że podczas strajku otrzymywał ojciec aż z Nadrenji pisma z pogróżkami między innemi pisano: „Wir ziehen nach Wreschen da werden wir dreschen, dass wir dreschen werden das werdet ihr später sehen“.*) Nie sądzili oczywiście wtenczas, że w kilka lat później dosięgnie ich ręka sprawiedliwości i nie my lecz oni zostaną pobici.

Dziś mamy to moralne zadowolenie, że chociaż w drobnej mierze przyczyniliśmy się do odbudowy Państwa Polskiego, gdyż przy układaniu traktatu pokojowego dała Sprawa Wrzesińska w ręce Rady Narodowej główny atut przeciw Niemcom.

---

*) Ciągniemy na Wrześnię, tam będziemy młócić, a że będziemy młócić, zobaczycie później.

---

Poniżej drukujemy wiersz Stanisława Rossowskiego, poświęcony Dzieciom Wrzesińskim, drukowany w dziełku Mieczysławy Śleczkowskiej p. t. „Września“ wydanem w Krakowie r. 1901.

*Wionął zimny wiatr północy,*
*Srogi, mściwy król:*
*Potratował plon i kwiaty*
*Wielkopolskich pól.*
*Napój jego: łzy matczyne;*
*Strawa: płacz sierocy,*
*Potratował serca, dusze*
*Srogi wiatr północy.*

*Zajęknęły bólem niwy*
*Wielkopolskich pól:*
*Wionął zimny wiatr północy,*
*Srogi mroźny król.*
*Jak na podbój ruszył świata*
*dumny i ponury*
*Przeciw matkom, przeciw dzieciom*
*w sal sądowych mury.*

*Stanisław Kossowski.*

BOGDAN DERESIEWICZ:

# EPILOG EPILOGU SPRAWY WRZESIŃSKIEJ

Wiadomo, że słynna sprawa wrzesińska, która rozegrała się w listopadzie 1901 r. przed Sądem Gnieźnieńskim — stała się prawomocną wyrokiem Sądu Rzeszy w Lipsku z dnia 12 maja 1902 r. zapadł wyrok, który wywołał w całym kulturalnym świecie ogromne oburzenie, wyrok, który podyktował H. Sienkiewiczowi, m. i. następujące słowa: „Wszędy, gdzie zwyrodniona kultura nie przeszła w stan dzikości, a nawet wśród tych Niemców, którzy woleliby w dziejach inną rolę, niż rolę zbirów pruskich, wyrok ten wzbudzi jednaką zgrozę i pogardę — a zarazem napełni serca trwogą o przyszłość i zdumieniem".

Wiadomo dalej, że główna skazana z tego procesu, praczka Piasecka, przed karą $2^1/_2$ roku więzienia w ten sposób się uchyliła, że zbiegła z rozległych ziem Rzeszy Niemieckiej na teren państwa Austro-Węgierskiego; że w związku z tą ucieczką prokuratura pruska postawiła w stan oskarżenia członków t. zw. Komitetów (niesienia pieniężnej pomocy dla zasądzonych), jak np. Kościelskiego Józefa z Miłosławia, ks. prałata Stychla, dr. Niegolewskiego z Poznania i innych. Ci członkowie Komitetów zostali jednak zwolnieni (wrzesień 1902 r.), gdyż nie udało im się udowodnić współudziału w „zbrodni" ucieczki oskarżonej. Proces ten więc — epilog niejako, głośnego procesu sprawy wrzesińskiej — nie doprowadził władze pruskie do efektywnych rezultatów; to też dopiero dzisiaj w wolnem od więzów zaborcy Państwie Polskiem — epilog tego epilogu odtworzyć możemy, uchylić „rąbek tajemnicy" tego procesu.

— Czy istotnie Komitety przyczyniły się do wywiezienia Piaseckiej?

Otóż można dzisiaj — na dobro prokuratury pruskiej — stwierdzić, że dobrze ona węszyła, oskarżając Komitety, jako sprawców wywiezienia Piaseckiej. Swobodnie już dzisiaj o tym fakcie mówi — klasyczny świadek tej „zbrodni", sprawca-auctor wywiezienia Piaseckiej, Ignacy Janicki z Wrześni. Dzisiaj to już posiwiały w służbie życia weteran, otrzymujący za ten swój czyn rentę z kancelarji Prezydenta Państwa. Cieszy się staruszek, że wywiódł w pole prokuraturę pruską, tak, jak rzadko kto przed nim, czy po nim. Wielka zasługa Janickiego leży w tem, że nie władającą językiem niemieckim, ani w piśmie, ani w mowie Piaseckę, przewiózł z Miłosławia (pow. wrzesiński) pociągiem Rzeszy Niemieckiej do granicy (Oświęcim), a stąd do Lwowa;[1]) że mimo aresztowania go po powrocie przez policję pruską, wszystkich szykan pruskiego śledztwa i postawienia go przed Sądem Gnieźnieńskim — zaparł się dla dobra sprawy inkryminowanego mu czynu.

Toć od niego zależał wyrok w „epilogowym procesie wrzesińskim", gdyby nie jego podziw dzisiaj budzące samozaparcie się, zostaliby na wysoką karę skazani ludzie tej miary, co ks. prałat Stychel, Józef Kościelski, dr. Niegolewski itd.

Że Janicki świetnie odegrał przed Sądem Gnieźnieńskim rolę niewinnego baranka, który, owszem do Galicji jechał, ale w sprawie... ożenku, że Piasecka, owszem, w tym samym pociągu, co on, jechała, ale, gdy ją życzliwie zagadnął, „baba mu frechownie odpowiedziała" — przytoczę t. zw. „wszawy epizod", fragment z jego zeznań przed Sądem Gnieźnieńskim, przed którym n. b. zeznawał Janicki po polsku, twierdząc, że po niemiecku — on, kupiec podróżujący — nie rozumie?

Wspomnienie procesu gnieźnieńskiego w niemieckim piśmie humorystycznym „Kladderadatsch" Berlin 27 września 1903 r.

Osobista ochrona sądu



Z doświadczenia, dokonanego ongiś z poczciwym Janickim, poczyni się w salach Sądu Okręgowego w Gnieźnie zarządzenie chroniące sędziów przed niepożądanymi gośćmi. Zarządzenie to nie będzie jednak chroniło pp. obrońców, którzy muszą pozostawać w bliskim kontakcie z klijentami.

Dla wyjaśnienia tego epizodu dodać należy, że Janicki aresztowany po przyjeździe ze Lwowa do Wrześni „zawszawił się" we wrzesińskim areszcie; z tym przychówkiem zawieziono go do Gniezna i postawiono przed Wysokim Sądem. Janicki usiadł skromnie na ławie oskarżonych drapiąc się srodze, co się wkrótce udzieliło także i reszcie oskarżonych, a nawet obrońcom. Przewodniczący Sądu musiał więc interwenjować, każąc się Janickiemu umyć, przebrać itd.

Sprawozdawcy prasowi (tak polscy, jak i niemieccy) rozpisali sic szeroko o tych wszach, piętnując porządek w pruskich aresztach. Zareagował na to na jednej z rozpraw p. prokurator, udzielając nagany dziennikarzom i zaznaczając urzędowo, że „odnośne wszy obeszły Janickiego w Galicji i z niemi przybył do aresztu do Wrześni, gdyż w więzieniu wrzesińskiem przestrzegają porządku". Na to Janicki oświadczył, z obrażoną dumą i godnością z ławy się podnosząc, że czuje żal do p. prokuratora za jego powiedzenie, jakoby on, Janicki, przywiózł robactwo z Galicji, tymczasem było to robactwo tutejsze.

Słowom tym towarzyszyła salwa śmiechu i wesołości ogólnej na sali wedle sprawozdań owoczesnych dzienników.

Przewodniczący wpadłszy w Ignacową nutę niebacznie zapytał: Skąd Janicki jest taki pewny, że to tutejsze robactwo? Czy było ono stemplowane?

Na to Janicki z powagą: Gdybym te wszy wiózł aż z Galicji, to musiałbym je na granicy niemieckiej oclić, a po drugie, były to wszy krzyżackie, bo „uni mieli" czarne krzyże na grzbiecie.

Ostatnich „krzyżowych" słów tłumacz — wśród ogólnego hałasu — nie zakomunikował trybunałowi, dlatego przewodniczący nie wiedząc o nich, oświadczył uroczyście, że uważa sprawę tą, jako ostatecznie załatwioną...

---

[1]) Szczegółowo opracowałem to wywiezienie w „Orędowniku Wrzesińskim" w numerach: 38, 39, 40, 43, 46, 49, 52, 56, 63, 70. 75 i 83 z 1934 r.

# SPRAWA WRZESIŃSKA A SZTUKI PIĘKNE
## I MUZEUM SZKOŁY WRZESIŃSKIEJ

W swoim czasie, oświadczył był p, minister Pułaski, w rozmowie swej z Wrześnianami pp. Dr. Jawińskimi, iż spotkał się za bytności swej w Paryżu z ciekawą rzeźbą stworzoną pod wrażeniem strejku dzieci wrzesińskich. Zainteresowani informacją pp. Jawińskich zwróciliśmy się do p. min. Pułaskiego z prośbą o bliższe szczegóły w sprawie wspomnianej rzeźby. W odpowiedzi otrzymaliśmy następujące pismo:

„...Wdowa po rzeźbiarzu, którego nazwiska w tej chwili nie pamiętam, zwracała się do Bibljoteki Polskiej w Paryżu, przedstawiając fotografję rzeźby, wyobrażającej ucisk spowodowany strejkiem szkolnym we Wrześni.

Zechce więc Szanowny Pan zwrócić się, w powołaniu się na mnie, do kustosza Bibljoteki Polskiej w Paryżu, który niewątpliwie bliższych szczegółów w tej sprawie będzie mógł Panu udzielić...

Łączę i t. d.

Fr. Pułaski.

Warszawa, 2/VI. 34."

W dalszem postępowaniu, p. kustosz Bibljoteki Polskiej w Paryżu przesłał nam następujący list:

„W odpowiedzi na list z 7 sierpnia br. donoszę uprzejmie, że rzeczywiście jak pan minister Pułaski Panu donosił, w Paryżu znajduje się rzeźba poświęcona bohaterstwu dzieci polskich podczas strejku szkolnego we Wrześni. Autorem jej jest zmarły obecnie rzeźbiarz p. Kossowski. Wdowa po nim, Franciszka Madame Hélo-Kossowska zgłosiła się do nas przed dwoma laty w tej sprawie, oświadczając gotowość sprzedaży rzeźby osobie, którаby się nią zainteresowała...

Czesław Chowaniec
Kustosz Bibljoteki.

Paryż, 19 września 1934."

Wydawcy „Wici W." udało się po skrupulatnem przejrzeniu czasopism polskich z okresu strejku szkolnego, wpaść na bliższe szczegóły tyczące się wspomnianego dzieła sztuki. W Illustracji Polskiej w Krakowie w nr. 21/1902 r. pisze Antoni Potocki w artykule p.t. „Polska na wystawach Paryskich — Dzieciom Wrzesińskim", co następuje:

„Zaledwie otworzono podwoje oficjalnego Salonu Paryskiego, a już wykwitł, jak co roku zresztą, wypadek, który został przez pisma francuskie „Eclair" i „Française" podniesiony i gorąco komentowany.

Rzeźbiarz p. Henryk Kossowski, od lat dwudziestu kilku zamieszkały w Paryżu przesłał w roku bieżącym do Salonu rzeźbę, którą zatytułował; „Dzieciom Wrzesińskim" Salon rzeźbę tę odrzucił bez żadnych motywów, jakkolwiek praca jest bardzo dobra. Mały



*„Polska" obraz Alfreda Plauzeau (w Salonie Paryskim 1902 r.)*

napis na odrzuconem dziele, odkrył jednak tajemnicę: napisano tam dwie litery „R. O.", co dla wtajemniczonych znaczy: „Refuse objet": odrzucono spowodu pomysłu. Cóż to za pomysł przedstawił p. Kossowski w swej rzeźbie?

— Na wpół leżąc, mały chłopiec broni się od potwornej ośmiornicy, która go owija i oplata swemi ośmioma ramionami zaopatrzonemi w mnóstwo ssawek.

U dołu napis: „Dzieciom Wrzesińskim". Chłopiec zmodelowany bardzo dobrze, zwierzę morskie, które się wpija w jego ciało, ma wyraz pełen zapamiętałości. Może za mało duszy jest w szamotaniu się dziecka, wszystko jednak nie tłumaczy zupełnie odmowy ze strony „jury".

„Eclair" i „Francais" wydrukowały natychmiast bardzo ostre w sprawie tej artykuły, a „Francais" podał nawet reprodukcję z rzeźby p. Kossowskiego.

Artykuł w „Francais" kończy się słowami:

„Myli się p. Kossowski, myśląc, że wolno protestować w dziełach sztuki przeciwko germanizacji, jakiej prowincja poznańska jest widownią. Nie wolno czcić honoru i odwagi w Salonie artystów francuskich!" —

— — — — — — — — — —

### „POLSKA" — W SALONIE PARYSKIM

...Zaczynamy znów zapładniać myśl wybrańczych jednostek na Zachodzie i budzić uśpione sumienia. Sprawiły zaś to dzieci polskie, *gromadka wrzesińska, która na wieki zostanie w pamięci ludzkiej.*

Kilka razy zatrzymywałem się w Salonie przed obrazem p. Plaureau — za każdym razem tłum się przed nim skupiał. Za każdym razem rozbawiona, hałaśliwa fala tłumu zatrzymywała się tu jakby w biegu i mogłeś w twarzach czytać niezwykłe dla tych ludzi uczucia.

Na ponurem, chmurnem tle nieba wysoko wnosi się krzyż na nim postać kobieca ze zwisłą na piersi głową. Trzy czarne sępy krążą nad ukrwawioną. Pierwszy rozkrwawił jej bok, do serca szuka drogi. Drugi w oczy jej zagląda, czy jeszcze żyje? Trzeci na uboczu czuwa; za pierwszym ruchem ukrwawionej gotów jej czaszkę rozwalić. Stary symbol Polski i jej oprawców nad tłumem się wznosi z wielką potęgą. — Golgota narodu. Do stóp krzyża zbliża się gromadka dzieci. Dziwnie uderza kontrast ponurego tła z ubogiemi barwiczkami tych chłopskich szatek kolorowych i lnianych włosków. Gromadka podnosi czoła ku ukrzyżowanej. Słychać jakiś śpiew czy modlitwę dziecięcych głosów.

Zapragnąłem poznać artystę. Katalog podał nazwisko: Alfred Plauzeau i adres. Kiedym stanął w pełnem światła poddaszu i wymieniłem uścisk ręki z malarzem nie potrzebowałem pytać dużo. Jak przeczytałem o tych dzieciach — wie pan — mówił p. Plauzeau, — zaraz z artykułu Severyny wiedziałem, że jest pyszny temat do malowania. Byłbym to zrobił lepiej, ale mi już czasu brakowało: trzeba było się śpieszyć. Wszystko tam było — i orły i krzyż i Golgota i Prometeusz — jak tu z temi dziećmi dać sobie radę? Wkońcu wpadłem na taki pomysł, aby malców podprowadzić pod krzyż.

To mi zaraz wyjaśniło całą kompozycję. Trzeba przyznać, że „malcy" t. j. Września, naprawdę doskonale wyjaśniają kompozycje. *Jak wielką potęgę mieć muszą dzieci wrzesińskie „epatujące" świat, powołujące do braterstwa obcych i wlewające nowe życie w stary symbol Polskę?...*

Schodząc z podniebnych wyżyn czwartaku, myślałem, że trzeba żeby o dalekim, a przez siebie samych pozyskanym bracie — wiedziały coś dzieci wrzesińskie. Nie dajcie temu obrazowi, który jest podwójnie piękny — siłą sztuki i idei — zaprzepaść się gdzieś na wyprzedażach! (Potocki)

— — — — — — — — —

## MUZEUM SZKOŁY WRZESIŃSKIEJ

Minęło od czasu pisania tych słów 35 lat. Jakże potężne musiało być echo „Sprawy Wrzesińskiej" jeżeli ujawniło się aż w twórczości obcych artystów. Jeżeli powodowało głośne polemiki w francuskich pismach — artystycznych. Idą lata, a z nimi idą w niepamięć głosy publicystów i dzieła artystów. Wbrew wołaniu szlachetnego sprawozdawcy — zaprzepadły się rzeźby i obrazy poświęcone wrzesińskiej, a więc polskiej, a więc kulturalnej sprawie. A może przecież znajdzie się ktoś, kto cennym dokumentom wielkiej chwały miasta zaprzepaść się nie pozwoli, jeśli to jeszcze możliwe. Przecież miasto zyskałoby ogromnie na atrakcyjności, gdyby w murach jej znalazł się zakątek poświęcony pamięci „Sprawy Wrzesińskiej". Przyjeżdżają do Wrześni jeszcze dość licznie pielgrzymki, by złożyć hołd pamięci jej dzieci. I nie zastają — niestety — prawie żadnych śladów, pamiątek, dokumentów z największych dni miasta. Pamiątki te, bezcenne, giną u posiadaczy prywatnych. Przez trzydzieści-pięć lat miasto nie zdobyło się ani na to, by albo wykupić z rąk prywatnych historyczny gmach szkolny, albo — by stworzyć Muzeum Dzieci Wrzesińskich. A może żeby przecież zdołano pozyskać na własność miasta dawną szkołę. Nie byłoby chyba zbyt trudno przywrócić jej dawny charakter. W tej „szkole" należałoby historyczną klasę przywrócić do jej dawnego wyglądu, a w sąsiednich zgromadzić wszystko, co tyczyło się „sprawy wrzesińskiej". Wszystkie dokumenty, fotografje, rysunki, obrazy, rzeźby, czasopisma, słowem wszystek ślad, któryby oczom zwiedzających pokazał „Dni Wrzesińkie" wszechstronnie. Łatwo można sobie wyobrazić, jaką atrakcją dla niezliczonych wówczas zwiedzających stałaby się Września. Dziś bowiem, wycieczki przybywające do Wrześni wracają nieomal z niczem. I zostawiają chyba tylko — wstyd Wrześnianom, że tak zupełnie nie okazali dbałości o to, co powinnoby być najwyższą chlubą miasta.

Niechby Towarzystwo Przyjaciół Kultury i Sztuki wzięło w swe ręce tę ważną sprawę. Władze powiatu, miasta, instytucyj i stowarzyszeń niewątpliwie dopomogą szlachetnej inicjatywie i konsekwentnie przeprowadzonym staraniom. Upamiętnijmy po wsze czasy Sprawę Wrzesińską, stwarzając Muzeum Szkoły Wrzesińskiej.

# ŚREDZIANIN W OBRONIE WRZEŚNIAN

W jaki sposób przyszło do czynnego wystąpienia rodziców i rodzeństwa Dzieci Wrzesińskich w pamiętnym dniu 12. maja 1901 r. — na ulicy, tuż przed szkołą? —

Z powyższem pytaniem zwróciłem się do p. Michała Lange'go, naocznego świadka głośnych wydarzeń.

Oto, co usłyszałem w odpowiedzi:

...na krótko przed godziną dwunastą, w południe, wyszedłem z mego warsztatu cygarniczego, aby zaczerpnąć powietrza. Znalazłem się o kilkanaście kroków od budynku szkolnego. W pobliżu szkoły, przy drzwiach wejściowych, zauważyłem gromadkę osób. Zauważyłem również zbliżającą się w moim kierunku dziewczynkę. Płakała bardzo rzewnie i rozcierała sobie rączki. Zapytałem ją o powód płaczu. Opowiedziała mi łkając, że zbił ją nauczyciel, za to, że nie chciała mówić pacierza po niemiecku. — Całą klasę tak zbił, i jeszcze bije... — dodała odchodząc. Wróciłem do warsztatu i powtórzyłem pracownikom moją rozmowę z dziewczynką. Nie wysłuchawszy opowiadnnia do końca zerwał się jeden z moich pomocników, niejaki Skarbiński, rodem ze Środy i wyrwawszy nogę ze swego stołka wypadł na ulicę. Wybiegłszy za nim, zauważyłem, jak mój Skarbiński wpadł do szkoły. Tam trafił mój czeladnik na moment, gdy nauczyciel, trzymajac brutalnie głowę chłopca między kolanami okładał dziecko niemiłosiernie trzciną. Porwany szewską pasją gruchnął Skarbiński pruskiego pedagoga w kark z taką siłą, że drewniany kołek pękł i złamał się, i druga jego połowa potoczyła się pod ławki szkolne. Za Skarbińskim wpadli do klasy zgromadzeni przed szkołą ludzie. Na ten widok przerażone a czcigodne grono nauczycielskie poczęło uciekać, w panicznej ucieczce przesadzając płot dzielący podwórze szkolne od dziedzińca hotelu Haenischa. Dzieci, widząc rejteradę swych prześladowców, wybiegły hurmem z klas powiększając tłum rosnący przed szkołą. Któryś z nauczycieli-uciekinierów zaalarmował policję. Za chwilę zjawiło się kilku policjantów miejskich i żandarmów. W owym czasie restaurowano farę wrzesińską, do której ulica przylegała. Dość więc było pod ręką cegieł i stwardniałego wapna, czy gipsu. Tą amunicją począł tłum bombardować nacierającą policję. I kto wie, do czego by wówczas było doszło, gdyby nie niespodziewana interwencja — nieba. Huknął grzmot i nastąpiła gwałtowna, kilkuminutowa ulewa. Atakowani i atakujący poczęli chronić się gdzie kto mógł. Zwłaszcza pod istniejące jeszcze wówczas domki z okapami. W międzyczasie policja wtargnęła do szkoły. Policjant Knappe znalazł corpus delicti — leżący pod ławką złamany kołek. Z kołkiem tym począł policjant obchodzić najbliższe domy i oglądać wszystkie — szczotki. Był bowiem przekonany, że znaleziony kołek, to fragment kija do szczotki. Oczywiście dochodzenia jego, tak chytrze zaiste poprowadzone nie mogły dać żadnego rezultatu. Skarbińskiego, którego mało kto znał, nikt nie umiał wskazać, gdyby wogóle ktoś taki się znalazł. I wten sposób, krewki średzianin, bezpośredni inicjator interwencji starszych w obronie dzieci wrzesińskich — pozostał niepoznany.

Spisał: A. Prądzyński.

HENRYKA KUMINKA

REGJON TWÓRCZY

UKAZAŁ SIĘ JAKO IX TOM
BIBLJOTEKI WICI WIELKOPOLSKICH.

TEODOR ROSICKI:

# GDY MIJAM PAMIĄTKOWĄ TABLICĘ

Na zielonym domu czarną wmurowano tablicę ze złotemi literami, na pamiątkę, że zdarzyło się w nim coś okropnego. Płyty takie przytwierdzają do kamieni grobowych, na znak, że tu leży pogrzebane wspomnienie po człowieku, który żył, zdziałał coś, prosi o pamięć, i zmartwychwstanie w nowej epoce.

W domu o zielonych ścianach także czają się wspomnienia, wieczorami przeradzają się w wizje, nocami błąkają się po pokojach i szukają tej postaci męczeństwa, które miało szary płaszcz płaczu na oczach, które broniło się uporem przed razami nauczycieli niemówiących ich językiem ojczystym; które żegnając się żnakiem krzyża świętego modliło się po polsku, chcąc zadokumentować swą przynależność rodową, poddawało się katowaniu z milcząco zaciśniętemi ustami, a w sercach z głęboko zakorzenioną miłością do nieszczęsnej Ojczyzny. Wspomnienie tu pozostało po dzieciach, które dziś są ludźmi silnymi, a ongiś odbierały razy, mając za słowa protestu tylko łzy. Ludzie ci jeszcze przecie żyją. Jedni rozproszyli się

---

ST. Z KOCZOROWSKICH PAWLAKOWA:

# WSPOMNIENIA Z MINIONYCH LAT

## 1905—1906

### GDY UCZĘSZCZAŁAM DO WRZESIŃSKIEJ SZKOŁY...

Cofając się myślą w minione, dawne lata, wydaje mi się, że najszczęśliwsze dni mego życia przeżyłam w drogiem, rodzinnem miasteczku Wrześni, siedząc na ławie szkoły wówczas jeszcze niemieckiej. Byłam w drugiej klasie, równej dzisiejszej klasie 6. Pierwszy i drugi rok uczyliśmy się religji św. po polsku, później już tylko w języku niemieckim z nauczycielem p. Stawianowskim, który był dla nas niczem ojciec. Nietylko religję mieliśmy z p. Stawianowskim, ale i kaligrafję, czyli t. zw. „Schönschreiben". Był to Polak z krwi i kości. Nie wolno nam było mówić po polsku, jednak p. Stawianowski mówił do nas często w ojczystym języku, wskazując nam, aby nie rozmawiać, gdy będzie przechodził p. rektor Fedtke. Podporządkowaliśmy się do uwag kochanego nauczyciela. Cześć jego pamięci, bo nie wiem, czy jeszcze żyje.

Dzień po dniu nam wesoło schodził. Z zadowoleniem wracaliśmy ze szkoły do domu, odrabiając lekcje w języku niemieckim, rozważając z bólem serca nad tem, dlaczego nas tak te „szwaby z kamienia" gnębią? Za rozmowę nawet szeptem w języku ojczystym bili nas boleśnie i popychali, a wyróżniał się, niestety, Polak, p. Skowron, który nieraz do krwi bił nam ręce, ot — dla swej przyjemności. Kazał nam często rękę odwracać na prawą stronę i sinił nam palce za to, że występowałyśmy jako dzieci polskie. A był przecież sam Polakiem; mam dziś wrażenie, że Niemcy niczem go nie wyróżnili za to katowanie polskich dzieci. W nas dzieciach i rodzicach naszych, budził tylko zapalczywą nienawiść, tak że wszyscy się mu odgrażali, a on, zdaje się, bał się tej rozgoryczonej ludności i dziś jeszcze, po tylu latach, jego wyraz twarzy z miną butnego Prusaka nie schodzi mi z pamięci. Czy go dziś — o ile nie pożegnał się z tym światem — nie dręczy sumienie?

Tak pięć lat przeszło. Zakazano nam uczyć się religji po polsku, tylko po niemiecku. Wszystko buntowało się we mnie złowrogo, bo już przecież od wczesnej młodości rozmyślałam nad tem, kiedy to znowu będzie Polska. Mając lat 10, stale siedziałam w moim ulubionym kąciku, na staroświeckiej kanapie, zasłaniał mnie od obserwowania mego rodzeństwa mój ulubiony, rozłożysty kaktus. Stał w dużej drewnianej doniczce, a był on dla mnie jakby „sanctuarium", gdzie przechowywałam na nikłych kartkach wierszyki, takie sobie proste a prawdziwe, w których temat wlewałam wszystkie uczucia narodowe. A tak mnie coś rwało dowiedzieć się o dawnej Polsce, o naszej niewoli, o proroczem zmartwychwstaniu Polski. Bawiliśmy się zazwyczaj w dużej alei przy pałacu hr. Ponińskich. Często podczas zabawy śpiewałam na głos „Serce nie sługa", a gdy doszłam do słów: „Niemiec przed Polską zegnie kolana", to mnie szwab-policjant niejaki Knappe, dobrze wytargał za uszy, rycząc: „Na du kleine Polakin, soll ich dich einsperren? Wer lernt dich eigentlich diese Schweinerei?"

Zaczęło się coś buntować w całej Wrześni. Budziła się nienawiść w domu każdego Polaka. Co? Dzieci nasze mają się uczyć pacierza po niemiecku? Tego już za wiele.

Ojciec mój mówił: — Jutro gdy przyjdziesz do szkoły, oddasz katechizm i historję św. przez fartuch nauczycielowi na katedrę i powiesz, że nie pozwolę ci po niemiecku pacierza mówić. To jest dobre dla „szkiebrów". — Mając duży respekt przed nauczycielem Skowronem, który nas tak bił, byłam mimo to odważna. Coś mnie rwało: idź rzuć mu ten niemiecki „Vater unser" na katedrę, nie bój się, ojciec ci to kazał. I tak się stało. Pięć z moich koleżanek zgodziło się na to, że gdy będzie godzina religji, zrobimy to razem. Z rozkoszą wspominam ich nazwiska: Antola Kaliszewska, Stefa Koczorowska, Wala Bulczyńska, Pela Koralewska, Władka Grzegorzewska i pięciu innych chłopców: bracia Staniszewscy, bracia Lange i Alfons Bulczyński.

Zaczyna się nauka religji. Wchodzi p. Skowron.

„Na Kinder, Katechismus auf den Tisch und das Vater unser beten" — mówi raz, drugi i trzeci. Nic. Z ostatnich ławek, te więcej się bojące, wstają i zaczynają mówić pacierz po... niemiecku. My jednak krzyczymy w głos: Nie wolno się modlić po niemiecku! Na to p. Skowron: „Was ist denn los? Koczorowska, was hast du gesagt?"

— Mój ojciec zakazał mi modlić się po niemiecku — i koleżanki moje za mną to samo. Wstajemy my pięć z ławek, ująwszy przez fartuch katechizmy i historję, niesiemy je do katedry, gdzie je złożywszy, lecimy na miejsce. Także z drugiej strony ławek,

po szerokiej wyzwolonej Polsce inni, — ale tych jest tylko mała garstka — mieszkają w rodzinnym gnieździe, a przechodząc koło dawnego miejsca kaźni, w drodze do kościoła spoglądają z jakiemś bolesnem uszanowaniem na tę tablicę czarną i zjawy stawają przed ich oczyma: — Trzciny w rękach niemieckich nauczycieli i posiekane „łapy“. Dawno odrzucone nawyknienie odradza się w nich, spoglądają na dłonie i zdaje się im, że dłonie te są grube jak poduszki i tak ogromnie pieką.

A pacierz, ten pacierz mówiony po polsku staje się czemś żywem, myśli są białe, jak perły, ale słowa zczerwienione, jak korale, i jak korale przyrośnięte mocno do opoki zalanej morzem niemiecczyzny — obcości. Ale, przecież pod opoką tą podłożono ogień, a morze nie jest chyba z wody, lecz z siarki płynnej i smoły gorącej, bo cóżby tak piekło te rączki dziecięce, jak nie ogień otrzymanych razów; coby podsycało bukiet płomieni na ołtarzu, na którym składano ofiary poniesionych mąk.,.

Dziś pozostało po tem wszystkiem tylko wspomnienie. Zaś mary błąkające się po korytarzach i pokojach, szukające ławek, katedr, tablic na sztalugach, obrazów na ścianach, Chrystusów na drewnianych krzyżach, tak obco wyglądających, bo wmawiano, w dzieci jeszcze, że Bóg jest niemiecki — czekających na głos dzwonka, który również rozbrzmiewa ale dźwiękiem widmowym: te mary pokutują chyba za swój upór.

A upór ich był szalony. Dlaczego niechciały wziąć w rączki swoje katechizmów pisanych w obcej mowie, oznaczonych pieczęcią biskupa?

---

od okna, z rzędu chłopców, wstawają ci pięciu i naśladują nas jeszcze lepiej. Nauczyciel Skowron krzyczy na głos, czerwony jak pomidor: „Was ist denn los? Ihr verdammte Blase, wer hat euch das gelernt?“

Powtarzamy, że rodzice zabronili nam modlić się po niemiecku. Skacze i krzyczy po klasie p. Skowron: „Du Koczorowska, komm mal ans Katheder, Kaliszewska, Koralewska, Bulczyńska, Grzegorzewska und die fünf Bengels auch! Alle mit mir zum Herrn Rektor Fedtke!“ Otwiera drzwi i wypycha nas. Na to wchodzi rektor i mówi: „Skowron, was haben denn die Kinder getan?“

— „Sie haben die Biblische Geschichte aufs Katheder geworfen und wollen nicht deutsch beten“ — powiada p. Skowron.

Na to p. rektor: — „Aber Kinderchen, was soll denn das heissen? Seid doch immer so brav gewesen. Na Koczorowska, komm mal her, warum hast du das getan? Wer hat dir das verboten?“

— „Mein Vater“ — odpowiadam.

— „So, das ist ja grossartig, was ist denn dein Vater?“ — i wypytywał się nas wszystkie aż do ostatniej. Potem jakieś spisywanie i konferencja wszystkich nauczycieli.

— „Es ist eine Schande, was das polnische Pack vormacht“ — słychać po długim korytarzu szkoły od przechadzających się nauczycieli, a była ich razem jedenastu, no i słyszymy słowa rektora naszego:

— „Also Kinder, um 2 Uhr zum Nachzitzen, tagtäglich zum Schularest“. My wszystkie tak już boleśnie obrażone i jeszcze co najgorsze, przesadził nas p. rektor spowrotem z drugiej klasy (chodząc już pięć lat do szkoły) do klasy 6-tej (!), gdzie siedziały małe dzieci i musiałyśmy sobie odnowa kupić tablicę i rysik. Co za szykana! Lecz nic z tego. Mieliśmy poparcie od rodziców. Były wprawdzie jednostki, które się bały „strajkować“ i nadal się uczyły pacierza po niemiecku, a my biedne pięć dziewczyn i pięć chłopców, musieliśmy się uczyć razem z małemi dziećmi.

Po pewnym czasie przybyło już więcej do naszych szeregów. I tak wszyscy codziennie od 2-giej na areszt szkolny aż do 4-tej, a tam nas i bili i szydzili z Polaków, często pytali nauczyciele:

— „Wollt ihr noch nicht beten?“ — My wszystkie: „Nein!“

Przypominam sobie taką scenę: Siedzimy sobie w areszcie, te dwie godziny siedzieliśmy przeważnie sami, raz po raz ktoś z nauczycieli zaglądał, raz p. Koralewski o strasznie wypukłych, szklanych oczach, to znowu p. Kądzierżyński (dusza człowiek dla dzieci), także p. Stawianowski, który łzy ocierał z oczu, gdy nas zobaczył, również p. Pohl, stale „zawiany“, potem znowu p. Fennig, który szydził z polskich imion i nazwisk, potem p. Nowicki, który nam raz po raz zaśpiewał po cichutku jakąś ludową piosenkę, dodając nam otuchy, także i p. Wohkitel, Niemiec zagorzały, z szyderstwem pokazywał nam mapę geograficzną: „Damals gehörte das zu Polen, jetz seid ihr deutsche Untertane!“

Każdy z nich miał nam „osłodzić“ te dwie godziny aresztu codziennie przez cały rok, ale każdy na swój sposób i swoją nutę. Raz zdarzyło się tak: wchodzi p. Skowron i każe wstać, mówiąc: — „Aufstehen zum Gebet“. My wszystkie stawamy, on woła: — „Kaliszewska, Kreuzzeichen machen, Koczorowska und alle anderen auch“. Razem wołamy oczywiście po polsku: — W imię Ojca i Syna...

— „Wer war das?“ — i od jednego dziecka do ostatniego leci jak dzik i pac każdego zosobna po jednej i drugiej stronie twarzy. Jeszcze dziś te niemieckie policzki odczuwam. Gdy się jakoś odwrócił do okna, my wszystkie głośno: „Jak ten Skowron wyjdzie na ulicę, to go kamieniami obrzucimy“. Odczuwał on naszą nienawiść, zdaje się raz po raz to odczuł również od naszych rodziców. W swym hakatyźmie posuwali się nauczyciele tak daleko, że — z wyjątkami małemi — ojców naszych z pracy wydalano za to, że dzieci ich strajkowały. Za „gorliwość“ nauczycielską podwyższono im ich „Monatsgehalt“. Była to nagroda za katowanie polskich dzieci.

Na wyróżniające wspomnienie zasługuje nauczyciel p. Kędzierżyński. Był dla nas bardzo dobry. miał serce pełne dobroci i zrozumienia dla dzieci. Głaskał nas, gdyśmy płakały, że ręce nas bolą od bicia. Był dobrym Polakiem, nie dał się przekupić, kochał nasze bolesne łzy. Przypominam sobie, że choć nas tak gnębiono i bito, my pięć koleżanek, wychodząc z aresztu szkolnego, chociaż ręce mocno bolały, myśmy wylatując na ulicę, śpiewały piosenki własnego utworu na temat:

„Idzie biedne pacholę,
przez zagony, przez polę. —
Idzie głodne niebożę
i wciąż płacze, mój Boże.“

A jednak byłyśmy szczęśliwe, że mogłyśmy coś dla Polski uczynić. I chociaż ze strachem przed niemieckim żandarmem, śpiewałyśmy jednak „Jeszcze Polska nie zginęła“, wierząc święcie w jaśniejszą przyszłość. I stało się! Zerwane zostały pęta niewoli, wyfrunął orzeł biały, długo krępowany, a dziś — w ojczystej mowie uczą się nasze dzieci pacierza i pieśni, chwaląc Boga w języku swoim — w języku ojczystym.

Przecież to nic zdrożnego.

Dlaczego niechciały się uczyć religji po niemiecku? Przecież nakaz Cesarza jest nakazem Boga!

Ale tam także błąkają się duchy tych nauczycieli obcych, którzy wówczas pełnili funkcje katów. Kuszą językiem słodkim, obiecują nagrody i wciskają przemocą w ręce dzieci niemieckie katechizmy, biją opornych, niby cesarskie maszyny wykonawcze.

W ulicy powstawają groźne głosy — To tłum dorosłych, groźnie posuwa się w kierunku szkoły, by bronić dzieci. W szkole powstaje panika. Przybywają obrońcy w hełmach błyszczących z pomocą oblężonym „wychowawcom". Tłum wyrywa kamienie z bruku i rzuca do okien. To istna rewolta!... Lecz nie zadrżało serce oprawcy i — narazie zwyciężyło, poto, by dziś błąkać się wspomnieniem przykrych mar w kamienicy na zielono pomalowanej, koło której przechodząc, w oczach człowieka odżywają zamarłe widma.

W wieży kościoła wybito nie tak dawno temu okno, w którym wstawiono witraż. Barwne szkiełka przedstawiają Chrystusa rzucającego promienie na owe dziatki męczone, klęczące u Jego nóg. Starszy człowiek wchodzący do fary główną bramą poznaje siebie w klęczącym dziecku, widząc rozchylone usta dziecka, wie, że to on sam mówi: „Ojcze nasz"... po polsku, gdyż nigdy inaczej mówić nie chciał, bo inaczej mimo wszystko nie mógł.

# SPRAWA WRZESIŃSKA W PARLAMENCIE NIEMIECKIM I AUSTRIACKIM

Sprawa wrzesińska nabrała światowego rozgłosu. Dziećmi wrzesińskiemi zajmowały się wszystkie narody cywilizowane pisząc o nich z uznaniem i śląc im swoje współczucie. Września olbrzymiała. — Września stała się sztandarem walki o język ojczysty przed zakusami germanizacyjnymi objawiając światu płaczem nieletnich dzieciątek całą przewrotność pruskiego systemu szkolnego. Dziecko wrzesińskie przeszło do historji, sztuki i literatury — zaciężyło kamieniem na państwie „Bojaźni Bożej". Dziecko wrzesińskie okazało żywotność naszą, pokazało współczesnym, że naród polski zawsze jest gotowy do walki i ducha polskości i narodowego ujarzmić nie pozwoli. Nie mógł być na to obojętny ówczesny parlament niemiecki a i pobratymczy austriacki. Jak wyglądała sprawa wrzesińska w parlamencie niemieckim według pism pochodzących z tego okresu?

„Zainteresowanie się sprawą nadzwyczajne. Już na kwadrans przed rozpoczęciem interpelacji trybuny widzów zapełnione. Wielu odchodzi, bo niema miejsca. W loży dyplomatów, bardzo dużo pań i panów. O godzinie 1 wchodzi na trybunę marszałkowską marszałek Ballestrem i sekretarze, wśród nich nasz poseł, p. Szambelan Cegielski. Tymczasem zapełniła się też sala posiedzeń. Przez pewien czas panuje gwar stłumionych rozmów, wreszcie odzywa się dzwonek marszałka, zalega cisza, jakby makiem zasiał.

Zjawiają się pp. Bülow, hr. Posadowsky i Richthofen, oprócz nich wielu urzędników ministerjalnych i reprezentantów państw Rzeszy. Gwar ucicha, nawet na ruchliwej trybunie dziennikarzy, puszczających w obieg różne wieści. Oto jedni szepcą, że wielu Polaków przybyło do Berlina, drudzy, że hr. Bülow milczeniem zbędzie interpelację Koła Polskiego. Inaczej jednak się stało. Na zapytanie marszałka odpowiada hr. Bülow donośnym głosem, że odpowie na interpelację natychmiast.

Wśród uwagi ogromnie wytężonej wchodzi na mównicę książę Radziwiłł. Ton mowy poważny i wzruszający, gdy mówi o jęku dzieci, o łzach matek wrzesińskich, które padły na wieniec chwały niemieckiej i do blasku jego mięszają promienie bólu i kir żałoby. Mówca skończył. Mowy słuchano w ogólnem skupieniu. Oklaski się rozlegają. Wstaje p. Bülow. Głos Bülowa jest nieco skrzypliwy, ale donośny. Kanclerz niechce wdawać się w dyskusję nad poruszonym przez księcia jako reprezentanta Koła Polskiego, przedmiotem, ale mimo to z widoczną i ostentacyjną satysfakcją daje wyjaśnienie, jak postąpiły rządy sąsiednich mocarstw wobec antypruskich demonstracyj. Czulej mówi o Rosji i znać po nim, że z tym sąsiadem znacznie więcej się liczy, o Austrii mówi o pół tonu zimniej z mniejszą czułością. Zapewnia Bülow, że opinja zagranicy nie wpłynie nigdy na bieg spraw niemieckich, że nic nie zmieni się w polityce antypolskiej, że on starać się będzie o to, aby Niemcy na wschodzie nie dostali się pod koła polskości. Skończył. Narodowcy niemieccy biją brawo, lecz słychać też sykanie. Bülow mówi okrągłemi, dobrze złożonemi zdaniami. Czyni to wrażenie czegoś ściśle sformułowanego, mimo to wszystko, co mówi Bülow, jest ogólnikowe.

W czasie mowy księcia Radziwiłła siedział Bülow prawie nieruchomy, ale po kilku nerwowych ruchać znać było, że wieść o jęku bitych dzieci nieprzyjemnie raziła jego nerwy. — Bülow powstał i wychodzi — za nim jego satelici, pozostaje kilku tylko reprezentantów państw Rzeszy. Hr. Hompesch wnosi o dyskucję, wniosek przyjęty. Mówi Roeren. Zasadniczy ton tej mowy to sprawiedliwość i żywe oburzenie na bezprawie. Po nim mówi Limburg Stirum. Mowa jest bez wyrazu, te same wytarte antypolskie frazesy i hypokryzją pokryte zapewnienia, że konserwatyści nie chcą odbierać Polakom języka ojczystego. Na co to siebie okłamywać? My na te plewy nie pójdziemy. Z miejsca mówi p. Dr. Dziembowski. Mowa ciepła, znajomość dokładna całej sprawy, — p. dr. Dziembowski był obrońcą dzielnym, — siła przekonania zawarta w mowie sprawia, że mowa olbrzymie robi wrażenie, przytem mówca włada językiem niemieckim doskonale. Wrażenie się potęguje podaną wiadomością o srogiem zajściu w Mamliczu: „W kilka dni po chłoście chłopiec umarł!" dreszcz grozy wstrząsa i posłami i audytorjum. Poczem huczą długie oklaski.

Ku mównicy zbliża się inna postać. To osławiony Sattler. Wszechniemiecka żółć spływa na salę kipiącą i wrzącą kaskadą i gryzie i pali tak, że głuchy szmer oburzenia kilkakrotnie zagłusza mówcę. Zda się jadowite żmije rozpełzły się po sali, tu rzuca oszczerstwa na Polaków, tam jadowity ząb wpaja w centrum tam znów utnie złośliwie jak osa socjalistów. Jak salamandra w ogniu, tak się Sattler kąpie w jadzie własnej żółci. Ten człowiek z wykrzywioną twarzą niezmiernie przykre pozostawia wrażenie, on jeden ma też odwagę bronić Wintera i Koralewskiego. Charakteryzuje to dostatecznie grunt duszy tego człowieka. Wrażenie przykre zaciera się pod ciepłem słów Ledeboura, socjalisty. Mówca nicuje mowę kanclerza, Limburga i docina Sattlerowi, mówiąc: wszyscy szowiniści to „Radaubrüder". Z ogromnem przejęciem mówi o sprawie wrzesińskiej, z oburzeniem o wyroku. Mówca rozgrzewa się stopniowo, fanatyzm przekonania daje mowie jego porywającą siłę. Na ławach socjalistów huczą gromkie brawa. Znać zadowoleni są z towarzysza, nienawidzącego hakaty wściekłość. „Oto — mówi — przypominają się zamierzchłe wieki. „Flagelanci, pijani szałem powstają z grobów!" — Pieczętuje mówca wyrok na Hakatę oświadczeniem, że jej polityka zbankrutowała zupełnie."

A w Wiedniu, w parlamencie austriackim wskazał na proces wrzesiński poseł czeski Holański. Odpowiadając posłowi wszechniemieckiemu Eisenbarthowi, który sławił Prusy jako kraj prawdziwej wolności, poseł Holański odezwał się w te słowa: „Piękny to kraj wolności, te wychwalane przez wszechniemców Prusy! Wszyscy tu niewątpliwie wiedzą, o czem doniosły świeżo gazety, jak to rząd pruski obchodzi się z dziećmi polskiemi. Ten pruski rząd, rzekomy rząd wolności, zaprowadził naukę religii w języku niemieckim; a potem za to, że dzieci nie całkiem dokładnie władając językiem niemieckim, wzbraniały się odpowiadać po niemiecku, bito je wszystkie po kolei w szkole, której drzwi pozamykano. (Żywe oklaski na prawicy. Głosy: Słuchajcie! Słuchajcie! Oto wasza pruska wolność!) Płacz tych bitych dzieci zwabił matki, broniły one swych dzieci, a za to skazano je na wysokie kary. Oto jest kultura niemiecka!" Mowa jego wywołała w parlamencie wielkie wrażenie. Nawet najzaciekłejsi krzykacze wszechniemieccy milczeli, nie wiedząc co odpowiedzieć na te dowody pruskiej kultury.

* * *

# LIST ARCYPASTERSKI

## DO SĄDU GNIEŹNIEŃSKIEGO

Do Królewskiego Dyrektora Sądu Ziemiańskiego

Pana Kah

w Gnieźnie.

Poznań, d. 12. 11. 01.

Referaty gazet doniosły, jakoby W. Pan i pan prokurator w toku obrad procesu przeciw „Lechowi" był twierdził, iż z mojem uznaniem i zezwoleniem język niemiecki w nauce religii w szkole elementarnej wrzesińskie został zaprowadzonym. Twierdzenie zaś powyższe miałeś Pan wywnioskować z „imprimatur", udzielonego wydaniu niemieckiemu katechizmu. Autentyczności rzekomego twierdzenia tego wiary wprawdzie dać nie mogę, ażeby jednakże zapobiedz dalszym błędnym wnioskom, donoszę W. Panu najuprzejmiej co następuje:

1) Wiadomo, że władze szkolne przy zaprowadzeniu środków nauki w szkole, co się tyczy języka w nauce religji, ani nie wchodzą w porozumienie z władzą duchowną, ani też nie żądają zezwolenia na nie, jak się to także wykazało z publicznego oświadczenia p. ministra spraw duchownych itd. w Izbie deputowanych. Władza duchowa nie miała zatem zgoła ani sposobności, ani możności: aby rozporządzenie, zaprowadzające język niemiecki w nauce religii w szkole wrzesińskiej, uznać lub potwierdzić, ani też, aby temu przeszkodzić.

2) Katolik każdy, posiadający choćby tylko elementarne wiadomości w religii, winien wiedzieć, iż „imprimatur" władzy duchownej udzielone książce nic więcej nie oznacza, jak tylko to, iż książka nie zawiera nic przeciwnego wierze i dobrym obyczajom. „Imprimatur" więc na katechiźmie polskim przeznaczonym dla dzieci z językiem ojczystym polskim, jako też „imprimatur" udzielone katechizmom niemieckim, nie uprawnia do wniosków, jakoby w tem leżało uznanie lub polecenie, ażeby katechizmów tych używano wbrew przeznaczeniu, jakie im Kościół daje i wbrew pragnieniom Kościoła.

Życzyłbym więc sobie bardzo, ażeby W. Pan autentyczne oświadczenie o swojem własnem i p. prokuratora orzeczeniu przesłać mi i ewentualnie po tem objaśnieniu swoje zdanie przy rozprawach obecnie toczącego się procesu sprostować zechciał.

Z wyrazem poważania

*Arcybiskup Florjan Stablewski.*

# GŁOSY PRASY

## O SPRAWIE WRZESIŃSKIEJ Z PRZED 35 LAT

6 grudnia 1901 — Ilustracja Polska Kraków:

Po całej Polsce przeszedł dreszcz...
Po całej Polsce przeszedł krzyk...

Dreszcz ten i krzyk z piersi miljonów, jakby z piersi jednego człowieka wyrwany, okazał — żeśmy jednością, żeśmy całością, żeśmy narodem niepodzielnym, mimo stoletniej niewoli, mimo kordonów, mimo pęt, mimo prześladowań i męczarń — jedną duszą i jednym sercem ożywionym narodem.

Września — to etap w naszych dziejach. Mieliśmy w naszej historji miejscowości opromienione chwałą i radością. Psie Pole... Grunwald... Lublin (unja), Kirchholm, Chocim, Wiedeń... Września — to miejsce pamiątkowe innego rodzaju — Praga gdzie dzicz Suworowa niemowlęta na piki nadziewała, niezliczone miejscowości na Litwie i Podlasiu — Kroże — etapy to dziejów naszych nowoczesnych, etapy Kalwarji... A z Kalwarji krew opływała, ale z niej wyszli bohaterzy wiary, ale ci cisi hohaterzy zwyciężyli najpotężniejszych w pancerz swej przemocy zakutych katów, ale ci mali, biedni, niepozorni bohaterzy świat zdobyli!

Pierwszy cud z tej Golgoty już spłynął i z otchłani piekielnej, które kat przed nami otworzył, wyszliśmy zdrowszym, niż kiedykolwiek, bardziej zjednoczonym narodem. I silni tem poczuciem jak opoka twardy i nierarzony mając lud, jako podstawę, stawiamy czoło wszystkim burzom, wszystkim katom, wszystkim przeciwnościom. — — Nie zginęła i nie zginie!

25 grudnia 1901 r.

Pamiętajmy o Wrześni!

Poruszenie społeczeństwa wywołane sprawą wrzesińską nie ustaje. Swiadczą o tem płynące ze wszechstron składki na ofiary systemu pruskiego. Od dwudziestu lat ucisk trwa, i dzień każdy przynosił nowe gwałty i bezprawia. Czara nieprawości była pełna po wręby. Sprawa wrzesińska, to ostatnia kropla, która ją przepełniła. System pruski stwierdzony już tyloma wyrokami sądowemi, okazał się tutaj w takiej jaskrawości, że dusza najobojętniejsza, serce najchłodniejsze, umiało zapłonąć i zadrzeć z oburzenia. Wrześni było nam potrzeba — nam, którzy zawsze lubimy się łudzić, którzy uległością i tolerancją względem drugich tak często grzeszymy, trzeba było takiego jaskrawego faktu, któryby nam oczy otworzył i ukazał rzeczywistość — i potrzeba było Wrześni, abyśmy raz znowu przed światem udokumentowali naszą jedność i niepodległość.

I potrzeba było Wrześni, abyśmy skupili nasze szeregi na polu ekonomicznej walki i podtrzymali hasło — swój do swego.

Bojkotowanie towarów pruskich odbywa się u nas na całej linji i zobaczymy, czy produkcja niemiecka zniesie obojętnie stratę takiej klienteli. — Pamiętajmy o Wrześni! to niechaj będzie naszem hasłem w stosunkach z wszelakiem prusactwem, czy ono się przejawia w Wielkiem Ks. Poznańskiem, na Sląsku, czy we Wiedniu, czy w Galicji!

* * *

Przy portrecie nauczyciela Koralewskiego zamieszczono artykuł zatytułowany „Pod pręgierz łotra!", który się rozpoczyna:

„...Prezentujemy tu naszym czytelnikom, jednego z licznej sfory oprawców, pełniących w kulturalnych Prusach funkcję nauczycieli w W. Ks. Poznańskiem: p. Koralewskiego, który za swą pożyteczną pracę nagrodzony został przez rząd kwotą 100 Marek...“ a kończy się:

„...P. Koralewski oświadczył w Gnieźnie przed sądem, iż czuje po niemiecku. Postępowanie jego całe świadczy, że mówi prawdę. Tak jest: p. Koralewski czuje i działa po niemiecku i może z całą słusznością intonować w szkole: Ich bin ein Preusse!“

* * *

„PRACA“ Poznań. — Jak z góry przewidzieć było można, wywołał wyrok gnieźnieński głośne echo w całej Polsce oraz wszędzie tam, dokąd losy zapędziły chociaż garstkę Polaków. Uderzył on jak grom w miljony serc polskich, a te zadźwięczały cudną harmonją najpiękniejszych uczuć, na jakie zdobyć się może — tylko naród świadomy swych praw i obowiązku swego. A więc odezwała się cała Polska współczuciem, miłosierdziem, miłością bratnią i solidarnością narodową. Cała prasa polska jednomyślnie niemal oceniła wyrok. Zabrał także głos, arcymistrz słowa polskiego, wielbiony przez cały świat cywilizowany H Sienkiewicz i wraz ze znacznym datkiem dla skazanych przesłał pismom krakowskim oświadczenie, piętnujące dobitnie system i politykę, które musiały doprowadzić do takiego procesu i takiego wyroku. On, który włada piórem, jak nikt inny, który wprost genialnie umie niem odtwarzać i wypowiadać najsilniejsze i najsubtelniejsze uczucia i porywy serca i duszy, użył w tem oświadczeniu wyrazów i barw tak żywych i dobitnych, iż łatwo poznać można, jak głęboko dotknąć go musiał wyrok gnieźnieński, jak bardzo obrazić jego etyczne pojęcia i zasady. Niestety z łatwych do zrozumienia przyczyn całego oświadczenia jego, dosłownie powtórzyć nie możemy. Musimy tedy ograniczyć się na powtórzeniu ostatniego ustępu z listu Sienkiewicza, a ten brzmiał:

„Chrześcijańskie i kulturalne narody nie mogą długo podlegać barbarzyństwu. ...nie mogą także przez całą wieczność podlegać... — więc przyszłość musi przynieść jakąś olbrzymią ewolucję ekspijację.

Ale tymczasem co mamy czynić my, nad którymi cięży ono bezpośrednio?

Wogóle — „wytrwać!“ a w szczególności pomóc do wytrwania tym, którzy się stali bezpośredniemi ofiarami...

Po skatowaniu dzieci, skazano na więzienie rodziców, którzy pracowali na ich chleb. Jednę z obwinionych, ubogą matkę siedmiorga drobiazgu, zamknięto na dwa i pół lata.

Więc niech się poruszą serca wszystkich naszych matek. Dajmy chleba dzieciom, przynieśmy tę pociechę skowanym rodzicom, że ich nieszczęsne dzieci nie będą zmuszone żebrać. „Prawo Boże, prawo chrześcijańskie nakazuje litość nad dziećmi wszystkim, a cóż dopiero — gdy chodzi o takie dzieci — nam!“

I w tym ustępie jeszcze kilka silnych wyrażeń zniewoleni byliśmy skreślić lub zmienić.

Nawet cenzura rosyjska złagodniała wobec tej niesłychanej sprawy. Pismom warszawskim pozwolono obszernie referować o procesie — a po zapadnięciu wyroku otwarcie wypowiedzieć swoje zdania.

* * *

„KURJER WARSZAWSKI“ jedno z najpoczytniejszych pism Królestwa Polskiego użył bardzo dosadnich słów na skrytykowanie całego przebiegu i zawyrokowanie sprawy Wrzesińskiej.

Najdobitniej i najdosadniej jednak ocenia wyrok prasa galicyjska, „Czas“ krakowski, organ, który zawsze trzyma się ściśle granic taktu i form parlamentarnych, w tym wypadku również użył zwrotów i porównań, których prasa poznańska powtórzyć nie mogła — przytem formy tak ostrej, jakiej nigdy prawie jeszcze nie spotykano na jego łamach. Zaznacza on między innemi z gryzącą ironią, że teraz po procesie akademików i gimnazjastów oraz po procesie wrzesińskim należałoby oczekiwać procesu przeciwko... niemowlętom polskim, które wprawdzie nie mówią jeszcze, ale już czują może po polsku... Dowiedziałby się wtedy świat, że nawet na niemowlęta oddziaływa ta straszna... agitacja polska.

Z innego punktu widzenia zapatruje się na ten proces krakowska „Nowa Reforma“. Wypowiedziawszy swe zdanie o wyroku, pisze dalej, co następuje:

„Na innem miejscu podajemy dokładny spis męczenników i męczennic za sprawę polską. Niechaj ten wyrok, na nich wydany, stanie się dokumentem dziejowym w porozbiorowej historii Polski...

Kilka zaledwie lat dzieli nas od okropnych wypadków w Krożach. Tam lud polski, zapomniany w żmudzkim zakątku, dawał życie w obronie swej wiary, zrosłej z całem jego jestestwem.

Obecnie we Wrześni na mieszczaństwo polskie, na biedny, uciemiężony stan rzemieślniczy, padł los, aby stanęło w obronie języka ojczystego. I znów padły ofiary — z innej, niż w Krożach, sfery ludności, ale z tego samego pnia narodowego.“

W końcu proponuje „Nowa Reforma“, aby zebrano fundusz narodowy na wsparcie dla rodzin ofiar procesu; a w innym artykule wzywa wiedeńskie Koło polskie, aby dobrze się zastanowiło nad tem, czy wobec takich wypadków może jeszcze popierać — trójprzymierze?

Niemniej trafne uwagi znajdujemy w krakowskim „Głosie Narodu“ — który pisze:

„Matki polskie w ciemnicach pruskich będą rozpamiętywać swoją niedolę i mękę swoich dzieci. Wyrok ten dreszczem przejmuje całe polskie społeczeństwo...

Hakatyzm rzuca się obecnie na najmłodsze pokolenie, w tej nadziei, że podgryzając podstawy narodu zniszczy całą jego budowę. Sposobu tego już próbowali Nowosilcow i Murawiew; już mamy w naszej historii porozbiorowej całą, jedyną w swoim rodzaju martyrologję dziecięcą; jeszcze nasi rodzice pamiętają jak bito, więziono i na Sybir wysyłano gimnaziastów żmudzkich i litewskich; ale te właśnie niewinne ofiary były widocznie jakby odkupieniem naszych grzechów i błędów; przetrwaliśmy najcięższe chwile, najsroższe prześladowania i stępiło się ostrze okrutników moskiewskich. Kto dziś śmie myśleć o wytępieniu polskiej narodowości? głupcy i obłąkani...

Ci „patrioci“ niemieccy, miotający się z taką zaciekłością na wszystko, co polskie, robią na tem wyborny interes...

Z taką obłuda walka jest ciężka i długa, ale musi się skończyć zwycięstwem. Opatrzność, która czuwa nad losami państw i narodów, i tu wymierza sprawiedliwość zawsze w stosownej porze. Więc nie potrzebujemy tracić otuchy, ani oddawać się rozpaczy, tem bardziej, że coraz potężniej czujemy naszą rosnącą siłę. Z kilku milionów przed stu laty, rozmnożyliśmy się w dziesiątki milionów, a nasza sztuka, nauka i literatura, świecą na europejskim horyzoncie blaskiem, którego żadna moc piekielna nie zgasi. A z dawniejszych i ostatnich wypadków, zawsze tylko jedną głównie naukę czerpać winniśmy: cała nasza nadzieia jest w nas samych; na niczyją pomoc liczyć nam nie wolno; żadne kompromisy nas nie zbawią, przynoszą nam tylko zawód i upokorzenie. Bądźmy „jednością silni“ i bądźmy „rozumni szałem“ miłości Ojczyzny, ufajmy w boską sprawiedliwość, a przyszłość do nas należeć musi.“

Z pism lwowskich dla szczupłości miejsca przytaczamy tylko następujący ustęp z artykułu „Dziennika Polskiego":

„Głos tych wieśniaczek (Gadzińskiej), żalących się z głębi rozbolałego serca nad dziatwą, którą kłamstwem i gwałtem zmuszano do niemieckiego pacierza — to dramat, o którym się nie śniło pruskim estetykom i dramaturgom. Głos ten dojdzie do każdego serca polskiego, znajdzie w niem oddźwięk."

* * *

Prasa nasza w zaborze pruskim powściągliwiej naturalnie i ostrożniej odzywać się musiała, ale i w jej artykułach znajdujemy tony silne i energiczne, odpowiadające zupełnie wzburzeniu, jakie ogarnęło całe nasze społeczeństwo.

„Kurjer Poznański" świetnie ilustruje usposobienie narodu polskiego pod zaborem pruskiem, odźwierciadla wiernie uczucia i myśli wobec ustawicznych prześladowań ze strony niemieckiej i pisze pomiędzy in.:

„Krzyk drobnych dziatek wrzesińskich podnoszących ku niebu opuchnięte od razów rączki i płacz matek polskich odbiły się głośnem echem w całym cywilizowanym świecie. Już biją gorącem tętnem współczacia serca trzydziestomilionowego narodu polskiego, już zabrzmiał głos potężny wielkiego Sienkiewicza, już świat cały słowiański, Praga i Lublana, prasa rosyjska, czeska, słoweńska i serbska odezwała się głośno a gorąco, już w narodzie niemieckim cała falanga niezależnych pism od konserwatywnej „Kreuzzeitung" do socjalistycznego „Vorwärtsu" wystąpiła energicznie przeciwko panującemu u nas systemowi. Chórem też odezwała się z jednym tylko dotąd wyjątkiem prasa katolicka niemiecka, na czele dzielna a niestrudzona „Kölnische Volksztg."

We Francji, jak nam donoszą z Paryża, sprawa polska z dnia na dzień stała się popolarną. Odbieramy numera nawet prowincjonalnych pism, albo czysto paryskich, jak n. p. „La Patrie", w których z takim zapałem, z takim ogniem, taką werwą piszą o dzieciach i kobietach naszych, że rychło czekać, a pomimo części przedajnej prasy paryskiej, na bulwarach nadsekwańskich jak przed pół wiekiem będą na porządku dziennym epizody z nowożytnych dziejów polskiego narodu. I oto już, jak nam piszą, rozbrzmiewa po ulicach Paryża piosenka ludowa, powstała nagle, przez noc, z rozbudzonego uczucia ludowego. Tytuł jej brzmi: „L'enfant polonais". A dalej zwrotka za zwrotką serdeczna, gorąca, tak, że się łzy leją do oczu tym starszym, którzy pamiętają jeszcze dawne czasy sympatii Francji ku wszystkiemu co polskie. Gdy matkę prowadzą żandarmi do więzienia — mówi piosenka — dziecko woła, by je razem z nią zabrano, bo go już nie straszy loch więzienny od czasu, gdy w nim jest jego matka...

Kobiety i dzieci, oto ów groźny zastęp, przeciwko któremu teraz trąbi do ataku szowinizm niemiecki w swej prasie i który niebawem przedstawi parlamentowi.

I zaiste groźny to zastęp, bo obdarzony taką czarodziejską siłą, że rzucone nań pociski wracają się podwójnie przeciwko temu, który je rzucił.

A druga jest jeszcze większa zapora, jeszcze niebezpieczniejsza dla atakującego — drzwi kościelne.

I w nich już słyszeliśmy brzęk broni żandarmskiej, a echo jego odezwało się ze stokrotną siłą w sercach naszego ludu.

Dobrzyca jeszcze nie zapomnianą nie będzie.

Codziennie, z wszystkich stron szowinizmu niemieckiego przypominają nam, że tu walka się toczy przeciw kościołowi, codziennie miotają gadzinowe organa najwstrętniejsze obelgi przeciw dostojnemu Księciu Kościoła, który zasiada na tronie św. Wojciecha, i przeciwko wiernemu Jego duchowieństwu.

Najostrożniej wyraża się „Dziennik Poznański" — kładzie przytem główny nacisk na wspaniały objaw solidarności i ofiarności polskiej, wywołany tym procesem.

„Z wielkim spokojem i szczerością — pisze — występowali oskarżeni i świadkowie, w całym toku procesu.

A najwięcej podziwienia godni byli obżałowani, którzy prawdziwie ze spokojem prześladowanych z pierwszych czasów chrześcijaństwa, przyjęli wyrok bez drżenia i lęku.

A społeczeństwo? Zapłakało, jak już powiedzieliśmy, z żalu i zgrozy, ale zamiast się pogrążyć w bezowocnych lamentach, zdobyło się odrazu na jedynie wskazany czyn chrześcijański, a niemniej polski...

W tej sprawie bardzo trafnie pisze „Goniec Wielkopolski":

„Proces wrzesiński stał się faktem dziejowym, który zajął umysły nie tylko narodu polskiego, ale całego świata cywilizowanego. Nie tylko naród polski w wszystkich zaborach daje wyraz oburzeniu, nie tylko społeczeństwo polskie zamanifestowało wspaniale w obronie prawdy i najświętszych ideałów, lecz głosy sympatyzujące z ofiarami wrzesińskiemi z Rosji, Anglii Francji itd. potępiają jednomyślnie wrogi nam system pruski, stając się dla niego „zgrzytem żelaza po szkle". Sprawa wrzesińska to nie triumf dla rządu pruskiego, lecz straszna porażka. Nie triumf dla systemu pruskiego nakładać więzy na młody umysł dziecięcy, wpajając w niego pojęcia wzniosłych zasad religji św. w języku, w którym to dziecko czuć i myśleć nie jest w stanie; nie triumfujcie więc wy. którzy nakładacie kajdany i zamykacie w więzieniach tych, którzy powodowani uczuciem, miłością rodzicielską, odczuli gwałt zadawany dzieciom swoim i dali wyraz swemu oburzeniu. Z milionów piersi podniósł się okrzyk protestu, który staje się dla was przestrogą, podniósł się okrzyk oburzenia nie tylko ze strony narodu polskiego, ale całego świata cywilizowanego. I pomiędzy wami z pewnością wielu takich, w których budzi się taka potęga prawdy, lecz przytłumiajcie ją, zduszajcie, by dogodzić zachciankom szowinistycznym. Naszym ideałem „prawda", waszym pod sztandarem H. K. S. samolubstwo — walczycie przeciwko prawdzie czując w sobie potęgę, lecz nie — moralną. Wasze hasło „siła przed prawem" — nasze — „za prawdę dla was i na nas". Zobaczymy, kto zwycięży?!"

Dalej „Wielkopolanin" tak się odzywa między innemi:

„Przypuszczamy, że zajście we Wrześni jest dlatego tylko jedyne w swym rodzaju, ponieważ nigdzie nie dopuszczono się na dzieciach kilkakrotnej egzekucji masowej, i z tej też przyczyny nie było nigdzie oburzenia tak wielkiego jak we Wrześni.

Uczciwi Niemcy mówią zupełnie otwarcie, że gdyby nauczyciele takiej masowej egzekucji na dzieciach dopuścili się w Westfalji, wogóle w jakiej innej okolicy niemieckiej, zajście takie, jak Wrzesińskie, byłoby wszędzie zaszło, ale skończyłoby się o wiele gorzej dla tych, co zarządzili taką masową egzekucję.

We Wrześni włosek nie spadł nikomu z głowy.

Słowem uczciwi Niemcy przyznają, że ludność wrzesińska miała wszelki powód być oburzoną do żywego i do wywołania oburzenia nie potrzeba było żadnych agitacyj i podmów. Egzekucja sama starczyła za wszystko".

„Dziennik Kujawski", traktujący wszelkie sprawy polskie z wyższego, ogólno-narodowego stanowika widzi w procesie tym i towarzyszących mu objawach jedyny piękny posiew

przyszłości, który nawet obojętnych i narodowo zmartwiałych do nowego życia pobudzić może. Z tej przyczyny był nawet potrzebnym... W odnośnym artykule swoim pisze pomiędzy innemi, co następuje:

„W ostatnich wyrokach nie mniej objawił się system pruski i zaślepienie naszych wrogów, którzy nie pojęli jeszcze, że wymierzanie surowych kar „dla przykładu" rodzi wprost przeciwne owoce, że zamiast stłumić „polską agitację" nietylko podsyca ją, ale jest najlepszą polską agitacją. Bo wszelki ucisk wywołuje zupełnie naturalną reakcję. Tak jak Bismark przez prawa majowe wskrzesił tysiące katolików, spowodował zszeregowanie się ich i dał obozowi katolickiemu wewnętrzną siłę, tak system antypolski, stosowany na każdym kroku z wzrastającą zapalczywością stwarza po polsku myślących Polaków, budząc uśpione struny nawet w zastygłych duchowo istotach.

Te procesy w wyniku swym ostatecznym zaznaczą się niemałym dorobkiem narodowym dla nas. Im większe kary — tem więcej odrodzonych przybędzie w szeregi rzeczywistych Polaków."

„Lech" gnieźnieński pociesza nasamprzód skazanych, że imiona ich „będą zapisane złotemi literami na kartach historii narodu naszego, bo nie hańbą, lecz niesłychanym zaszczytem jest wymierzona na nich kara".

* * *

A prasa niemiecka?

Ta z nielicznymi wyjątkami okazała wobec tego procesu i wyroku taki zanik nietylko wszelkich zasad etycznych, ale i najprostszych wymagań i przykazań przyzwoitości, że odnośne jej elukubracje jedynie z wstrętem i obrzydzeniem czytać można.

Charakterystycznym objawem w tym morzu złości i niegodziwości jest, że prasa niemiecka wobec prawdziwego heroizmu wszystkich warstw ludności polskiej zaczyna odczuwać pewien niepokój, taki sam, jaki ogarniał Rzym pogański na widok chrześcian — znoszących największe męczarnie z niepojętym wprost zapałem i pogodą ducha. Swiat pogański widział w tem jakieś czary — prasa niemiecka szuka pobudek zewnętrznych. W braku innych spędza wszystko na agitację postronną, na wpływy duchowieństwa polskiego. Zasklepiona w egoizmie i bucie szczepowej — nie umie zrozumieć idealnych pobudek oporu ludności polskiej, więc pragnie wynaleźć i odkryć jakieś pobudki sztuczne. A równocześnie łudzi się, że heroizm ludu polskiego w obronie najświętszych jego praw zdoła pokonać gwałtem i nowemi bezprawiami. Do tych też wzywa całym chórem zarówno rząd jak i inne miarodawcze koła.

Przedewszystkiem rzuca się prasa niemiecka z prawdziwą wściekłością na kapłana, który w procesie tym zajaśniał wspaniale jako prawdziwy sługa Chrystusowy, pojmujący wzniośle święte swe obowiązki — na ks. wikariusza Laskowskiego we Wrześni. Snać mało musi być w społeczeństwie niemieckiem ludzi podobnych księdzu L., jeżeli prasa niemiecka absolutnie zrozumieć i pojąć go nie zdołała.

Lecz posłuchajmy chociaż niektórych głosów:

„Hakatystyczny „Posener Tageblatt" uważa kary, na jakie skazano oskarżonych, wprawdzie za surowe — ale słuszne i sprawiedliwe i cieszy się bardzo, że trybunał gnieźnieński okazał się wolnym od wszelkiej sentymentalności. Organ Hakaty nie może pojąć, iżby dzieci z własnej inicjatywy, z własnego popędu opierały się niemieckiej nauce religji. Jego zdaniem koniecznie ktoś podburzyć je musiał, a tym „podżegaczem" może być tylko ks. Laskowski. Zapomniał on widocznie, że wiara chrześcijańska nakazuje szanować władzę. Dalej przypisuje „Pos. Tageblatt" niemałą część winy posłom polskim, którzy przemawiali na wiecu wrzesińskim. „Czy posłowie ci przypuszczają — pyta, — że rząd pruski tego rodzaju agitacje cierpliwie tolerować będzie? Rząd właśnie wobec takich zajść powinien wystąpić stanowczo i energicznie „bronić niemczyzny na Wschodzie!"

Najwstrętniej szarpie się i szamoce znana hakatystyczna „Deutsche Zeitung". Zamieściła ona już w tej sprawie co najmniej pół tuzina artykułów a wszystkie kapią formalnie nienawiścią i złością.

„Wynik zapadł surowy — pisze w jednym z nich — ale rząd nie miał innego wyboru, ani powodu zastosować tu łagodniejszą miarę. Już dziś przecie, jak nam donoszą w mniejszych miejscowościach Księstwa wśród ludności polskiej Niemcy nie są pewni swego życia".

W innym artykule wścieka się „Deutsche Zeitung" na konserwatywną „Kreuzzeitung", która oświadczyła się przeciwko metodzie wbijania sińcami dzieciom przy nauce religji znajomość języka niemieckiego.

Z powodu tego pisze:

„Kreuzztg" pragnie widocznie dopuścić dzieci szkolne do rządów w Prusach; — ...zdanie „Kreuzzeitung" znaczy tyle, co proklamowanie zupełnej anarchii szkolnej w polskich dzielnicach itd."

W trzecim zaś artykule zastanawia się nad tem, co teraz pocznie rząd królewski, co pocznie, jeżeli dzieci dalej opierać się będą niemieckiej nauce religii? Przecież nie można się cofnąć przed ich oporem! A co pocznie, co przedsięweźmie przeciwko ks. Laskowskiemu?

„W pierwszym wypadku — pisze — będzie można zastosować ustawę o przymusowem wychowaniu i jeżeli rodzice wrzesińscy nie zmuszą dzieci do uczenia się religii po niemiecku zabrać im dzieci i oddać innym na wychowanie lub do zakładów.

Trudniejszą jest sprawa z ks. Laskowskim. Zasłonił się on przed uczynionymi mu zarzutami przysięgą — ale kto wie, czy nie była to przysięga według przepisów teologii moralnej Liguorego dozwalającej przysięgać tylko na to, co się chce poprzysiądz. (Co za podłość!) Tu trzeba będzie zbadać czy nie możnaby znaleźć prawnej podstawy do wystąpienia przeciwko temu księdzu, a jeżeli nie będzie takiej podstawy, to należy żądać stanowczo od księdza Arcybiskupa Stablewskiego, aby dyscyplinarnie ukarał księdza L. Niestety — zdaje się, że właśnie dlatego wzrasta buta duchowieństwa polskiego, iż wie ono dobrze, że Arcybiskup popiera jej antyniemiecką działalność!"

* * *

Biedne dzieci polskie.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.

Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.

Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.